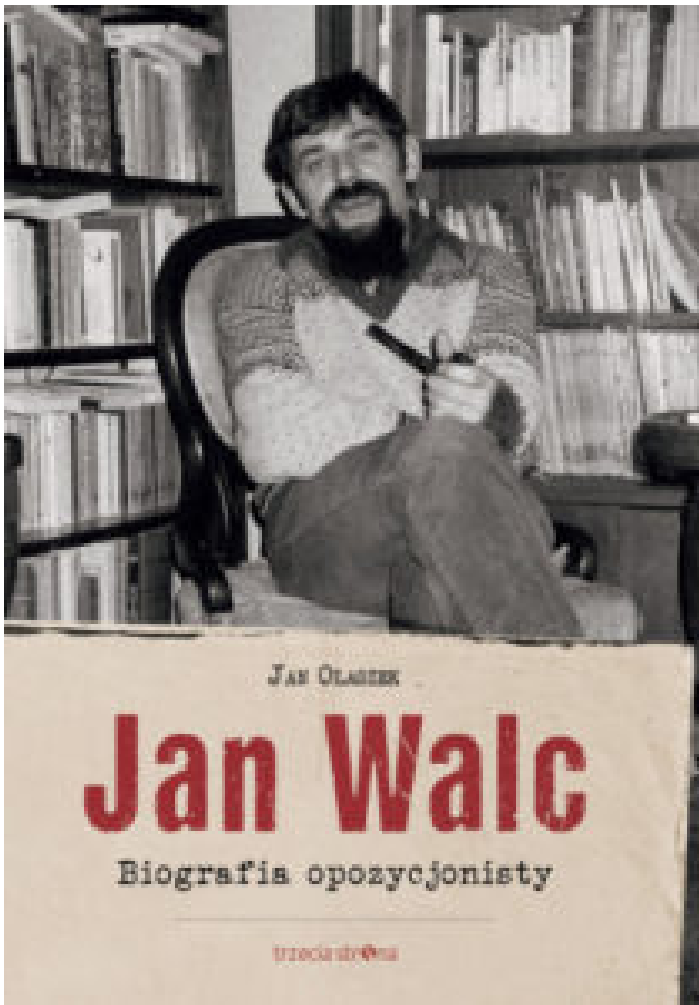


Szałony opozycjonista?



MARCIN KULA

Szałony opozycjonista?

Jan Olszek, *Jan Walc. Biografia opozycjonisty*, Trzecia Strona, Warszawa 2018, ss. 439.

Autor przedstawia swoją książkę jako naukową (s. 12). Zastanawiam się, w czym wyraża się jej charakter naukowy w porównaniu do biografii powstających staraniem nienaukowców. Czy w tym, że autor systematycznie wykorzystał jak największą bazę materiałową? Chyba nie, bowiem w pewnym typie publikacji każdy powinien podjąć wysiłek w takim kierunku. Więc może o naukowości decyduje pomieszczenie przypisów? No cóż, każdy uczciwy autor powinien podać, skąd zaczerpnął wiadomości. Czy w końcu o naukowości stanowi język? Książka naukowa, jak wiadomo, powinna być pisana drewnianym językiem i nie nadawać się do czytania przez szerszą publiczność. Jeżeli jednak tak, to Olszek nie spełnia owego kryterium. Książkę dobrze się czyta! Nawet więc jeśli autor w swoim miejscu pracy nie dostanie za nią punktów, na których opiera się współczesna nauka – skoro książkę „się czyta”, nie została wydana w wydawnictwie naukowym i niezbyt wiadomo, do jakiej dyscypliny ją zaliczyć – to ja uznaję ją za ciekawą, wiele przynoszącą i wartą przeczytania. W szczególności cenię zajęcie się przez autora-historyka zjawiskami

zachodzącymi swego czasu w środowisku literaturoznawców oraz w samej literaturze. Może te nieszczęsne podziały pól między dyscyplinami, u nas o solidności muru berlińskiego, zaczną się w końcu łamać. Tyle wstępu.

*

Istnieją różne typy biografii. W wypadku niektórych przedmiotem zainteresowania jest sam człowiek, a motywem pisania chęć zrozumienia go, czasem też chęć lepszego zrozumienia dróg powstawania jego dzieł. W innych wypadkach biografia daje pretekst do studiowania epoki, pokolenia, interesującego środowiska. Praca Ołaszka jest bliższa temu drugiemu modelowi. Nie wiem, czy takie było zamierzenie autora. Postać Jana Walca z pewnością go fascynuje. Brutalnie jednak mówiąc, historycy nie są najlepiej przygotowani do zajmowania się rozgrywaniem przez bohatera jego dylematów, wnikaniem w psychologię itd. Powieściopisarze i dziennikarze robią to lepiej (może psychologowie też, ale ich jeszcze trudniej czytać niż historyków-naukowców). Nadto autor, jako przyzwoity historyk, chce badać dzieje, a nie psychologię bohatera. Nawet zastrzega się, że trudno mu przedstawiać niektóre sprawy, jako dotyczące życia prywatnego (w kontekście stania się Walca ojcem w wieku 19 lat, s. 34: „Trudno o takich sprawach pisać, mają one charakter typowo prywatny. Nie sposób jednak ich pominąć, bo bez uwzględnienia tego kontekstu nie da się zrozumieć późniejszych wydarzeń”; w kontekście odejścia od żony, s. 339: „O najważniejszej z nich [ze zmian w życiu bohatera – M.K.] trudno mi pisać, bo dotyczyła życia prywatnego, ale nie sposób jej w biografii pominąć”). Rozumiem i podzielam autorskie zahamowania. Ograniczają one jednak drastycznie możliwość przyjrzenia się człowiekowi. Dlaczego Walc był takim oryginałem, buntownikiem nawet wobec własnych rodziców, po prostu buntownikiem „na okrągło”? Jakkolwiek by to paradoksalnie brzmiało, nawet jego wczesne wstąpienie do ZMS-u sam tłumaczyłbym chęcią aktywności i buntem wobec marazmu bądź wobec postawy wielu kolegów – jeśli oczywiście przywiązywać wagę, jak czyni autor, do decyzji, która wtedy mogła być bardziej rutynowa niż znacząca.

Autor przedstawia recenzje pisane przez Walca. One niewątpliwie go bawią, bawią też czytelnika. Inteligentne, a złośliwe recenzje na ogół bawią. Nie wszyscy jednak pisali i piszą recenzje w takim stylu; sam, szczerze mówiąc, na ogół piszę w innym i widzę w tym więcej sensu. Bohater książki – sądząc z przedstawionego obrazu – wydaje mi się trochę... zarozumiały, a może przemądrzały? Jak inaczej mógłby tak mocno stać na stanowisku, że jako jedyny ma rację? Jak mógłby przejeżdżać się po innych tak ostro i agresywnie? A może to autor bardziej zwracał uwagę na mocne recenzje i wypowiedzi Walca? Prawda, wobec tzw. przeciętnych ludzi ten sam Walc nie jest przemądrzały. To z pewnością można zapisać na jego dobro – ale wobec innych piszących i działających jest jak przysłowiowa brzytwa. Czy dlatego, że się taki urodził? Może. Tyle że w badaniach na ogół nie potwierdza się istnienia takich skłonności od urodzenia. Ani na przykład w odniesieniu do zbrodniarzy hitlerowskich z jednej strony, a do Sprawiedliwych z drugiej, nie wykrywano jakichś predyspozycji w jednym lub drugim kierunku. W obu sytuacjach byli to – przynajmniej na początku – zupełnie normalni ludzie, którzy skierowali się jednak w różne strony. Skądinąd trudno mi zaakceptować tezę Philipa Zimbardo, że środowisko z każdego może zrobić łajdaka – tak bowiem nie jest. W kwestii

robienia z nas aniołów przez środowisko – o ile wiem – Zimbardo nie wypowiadał się. Pytanie o charakter lub charakterek Walca pozostaje zatem otwarte.

Zostawmy jednak cechy bohatera. Jak wspomniałem, nie im poświęcona została książka. Zarazem nie jest ona też biografią pretekstową. Celem autora nie wydaje się pokazanie fragmentu dziejów kraju przez pryzmat losów postaci. Dzieje Polski są oczywiście obecne gdzieś w tle, ale Ołaszek je raczej jedynie przypomina. Na pierwszy plan wybija się codzienność w funkcjonowaniu opozycji – postrzegana poprzez życie opozycjonisty. Najciekawsze są kontakty Walca, jego kręcenie się wśród ludzi, świadectwa jego funkcjonowania i działania. My, historycy, umiemy takie sprawy analizować lepiej niż myśl naszych bohaterów. Nieprzypadkowo SB podobno ceniła absolwentów z wykształceniem historycznym (sic!). Bardzo ciekawy jest opis Salonu Walendowskich, realia funkcjonowania Biura Interwencji KOR, fragmenty o życiu podziemnego drukarza, zarysowanie sporów i kłótni w opozycji demokratycznej, także, dajmy na to, stosunki Walca z jego kolegą, pedagogiem Krzysztofem Konarzewskim, stojącym po przeciwnej stronie politycznej. To bardzo ciekawy i ważny wątek, istotny dla zachowania proporcji w dzisiejszych przedstawieniach sytuacji. Mimo częstego dziś dyskursu o zdominowaniu narodu polskiego przez komunistów warto pamiętać, że za prawdziwej okupacji granica oddzielająca od wroga była wyraźniejsza i musiała taka być.

Przy okazji sygnalizowanych opisów Ołaszek pokazuje też oczywiście kawał codziennego życia w Polsce, niezależnie od tego, czy było ono życiem opozycjonisty, czy bardziej przeciętnego człowieka. Widzimy zasięg władzy SB, która mogła nie tylko nie dopuścić do zatrudnienia kogoś, ale mogła też blokować publikowanie tekstów przez danego autora (a zdawało mi się, że takie zapisy rodziły się w odpowiednim wydziale KC!). Ołaszek pokazuje, że nawet taki człowiek jak Walc mógł podpisać zobowiązanie do współpracy z SB, z czego zresztą później nic nie wynikało. Ciekawe jest przedstawienie młodych opozycjonistów, którzy nie mieli oparcia w rodzinach warszawskich. Warszawiacy byli w lepszej sytuacji – nawet ci, których rodzice byli komunistami (ci starzy komuniści, niezależnie od niepokoju o dziecko, nieraz sympatyzowali z nim, jakby wspominając własną buntowniczą młodość).

Instruktywne są Ołaszka informacje o realiach przeżyć niedoświadczonych aresztowanych. Ciekawe są jego uwagi o życiu studenckim na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Trochę sam się w tym odnajduję, a trochę nie. Nie wiem, czy na historii, którą studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim, było mniej tych wszystkich dyskusji na pograniczu problematyki zawodowej i wydarzeń przeżywanych niż na polonistyce – czy parę lat różnicy między studiami moimi i Walca tyle zmieniło. Różnice między instytutami oraz kierunkami są jak najbardziej prawdopodobne. Występowały też w sprawach innej natury. Na historii UW nie było takiego antagonizmu z IH PAN, jak na polonistyce z IBL-em.

Ciekawe są również wątki z życia codziennego, teoretycznie odległego od polityki – na przykład z życia szkoły, gdzie Walc uczył, czy z uniwersytetu. Także realia życia w stanie wojennym (żona Walca wioząca nielegalnie do Warszawy ofiarowaną jej połówkę świni – i to nie w kawałkach – pod spódnicą, udając ciężę, jak „baby” za okupacji pociągami na Dworzec Wileński, lecz

samochodem przez roгатki!). Oczywiście w tamtym ustroju nic nie mogło być całkiem niezależne od polityki. Najgorzej dla człowieka było, gdy różne rzeczy się sprzysięgły przeciw niemu – z powodu jego działania bądź nawet bez jego zasług. Jak zauważył Andrzej Celiński, mówiąc o Walcu: „Jak ktoś miał wilczy bilet i do tego był jeszcze ostry, to w ogóle miał przechłapanie” (s. 102).

*

Niektóre ze spraw omówionych przez autora mogą wejść do dużo szerszych analiz. Codziennosc funkcjonowania opozycji dużo mówi o Polsce. Jakkolwiek by były przykre prześladowania i represje, nie świadczyły już o sile systemu. Jeżeli opozycjoniści mogli żyć tak intensywnie towarzysko, jeżeli mógł działać Prymasowski Komitet Pomocy na Pivnej, jeżeli członek KC spędzał noc na uczelni ze strajkującymi studentami (1968) i nadal egzystował, jeżeli ludzie podrzucali (choćby anonimowo) produkty żonie uwięzionego, jeżeli część literatów publikowała jednocześnie oficjalnie i w podziemiu, jeżeli mnóstwo ludzi było „za, a nawet przeciw”, jeżeli zawodowi drukarze przyłączali się do drukowania w podziemiu dla zarobku... to ten system musiał być już bliski klęski. Opisane życie codzienne internowanych w Jaworzu, niezależnie od łajdactwa samego uwięzienia tych ludzi, wskazuje, że system miał już starte zęby. Jednocześnie, ponieważ książka poświęcona jest opozycjoniście i opozycji, mniej dostrzega się w niej jakże ważną część społeczeństwa aktywnie uwikłaną w system (należałoby pewno przedyskutować, co ten termin znaczy, bowiem uwikłani byliśmy wszyscy choćby przez fakt brania pensji w państwowych instytucjach). Słabiej widzi się także przeogromną masę tych, którzy – co mogło się nakładać na poprzednią grupę – byli „za, a nawet przeciw”. Nie jest źle pamiętać, że w 1989 r. frekwencja w pierwszej turze wyborów wynosiła 62%, w drugiej zaś 25%. Tak, wiem, że przyczyny tego zjawiska mogły być bardzo różne, a interpretacja jest skomplikowana.

Inne sprawy mogłyby wejść do analiz dotyczących daleko nie tylko Polski jako występujące w wielu procesach dziejowych – choć autor nie idzie w tym kierunku (a szkoda!). Tak jest w wypadku roli inteligencji oraz intelektualistów w krajach mniej zmodernizowanych (zacořanych?). Także w wypadku opisanej buntowniczości studentów, w wypadku stwierdzanego kręcenia się wokół ruchów buntowniczych ludzi nieznajdujących dla siebie roli w legalnym społeczeństwie, a w tym ludzi z marginesu... W niejednym procesie przemiany występowała jedność zbuntowanych przeciw wspólnemu wrogowi oraz ich dzielenie się, gdy wroga już brakowało. Wszędzie wśród dawnych opozycjonistów po zwycięstwie pojawiało się wielu sfrustrowanych. Nieraz okazywało się, że ci, którzy nie narażali się, wychodzili lepiej, a liczba dystansujących się wobec dawnego reżimu nagle okazywała się tak duża, że aż trudno zrozumieć, jak on istniał. Z narażających się jedni zostawali ministrami, drudzy nosili za nimi teczki, a jeszcze inni, zapomniani, znaleźli się na bezrobociu. Niektórzy nie potrafili odnaleźć się w nowej rzeczywistości, gdzie niekoniecznie potrzeba było tych samych talentów i kwalifikacji (Walc, jak pokazuje autor, chyba nie odnalazł się). Ludzie wpierv bliscy, tym bliźsi, że łączyła ich sytuacja działalności podziemnej, nieraz rozstawali się, wręcz warczeli na siebie. Stawało pytanie o wybór dalszej drogi dla społeczności. Także pytanie o odniesienie się do zakończonej epoki, pytanie o jej

rozliczenie, szerokość (wybiórczość) nowych sojuszy. Pojawiało się pytanie o ocenę własnego życia i dokonań.

W stosunku do intelektualistów czy twórców działających w wielu dziedzinach wielokrotnie powstawało zagadnienie oceny dokonanych wyborów: czy właściwe było oddawanie się powołaniu wynikającemu z posiadanego zawodu, czy podjęcie działalności politycznej? Czasem jedne wybory zbiegały się z drugimi, czasem w którąś stronę pchały przypadki, czasem działał nakaz moralny. Tadeusz Kotarbiński, wychodząc z Warszawy po Powstaniu, wybrał wspomaganie w drodze osoby tego wymagającej zamiast wyniesienia własnych notatek. Nie zawsze sytuacje bywały jednak tak wyraźnie zdefiniowane. Czy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sytuacja była tak jasna, że dawała wyraźne podstawy dokonania wyboru? Co straciła – górnolotnie mówiąc – Polska na zmniejszeniu możliwości pracy wtedy i po 1989 r. wybitnego literaturoznawcy Jana Walca na jego zawodowym polu? Tak, wiem, takie postawienie sprawy rodzi pytanie, czy o lepszy świat winni walczyć tylko ludzie, którzy nie mają szans większych niż na zmiatanie ulicy. Chociaż jednak mogę być wdzięczny Walcowi drukarzowi jako czytelnik wielu podziemnych tekstów, to jednak żałuję, że nie napisał więcej tekstów zawodowych. Oczywiście, trudno wykluczyć, że Walc na swoim zaangażowaniu się w politykę zyskał też zawodowo. Za „pierwszej »Solidarnośći«” Andrzej Wajda przywiózł Gérarda Depardieu do Polski, by mu pokazać kraj w rewolucji – w perspektywie grania przezeń w filmie Danton. Niejeden historyk czy socjolog stał się mądrzejszy nie tylko dzięki lekturom, ale dzięki udziałowi w jakichś wydarzeniach. Nie mam wątpliwości, że Stefan Kieniewicz pamiętał o swoich doświadczeniach z rewolucji bolszewickiej (o czym nota bene napisał młodzieńczą opowieść), gdy badał rabację galicyjską. Z pewnością pamiętał też różne swoje i kolegów działania przeciw okupantom, gdy badał Powstanie Styczniowe. Gdy Karol Modzelewski opowiadał Aleksandrowi Gieysztorowi o atmosferze strajkowej w Stoczni Gdańskiej, ten zareagował, że to atmosfera początku Powstania Warszawskiego. Można się domyślać, że tkwił w tym element pesymistycznego proroctwa, które szczęśliwie nie sprawdziło się.

Ostatnie zdanie: jeżeli po przeczytaniu monograficznej książki przychodzą do głowy tak różne myśli, to znaczy, że autor odniósł sukces.

Korekta językowa: Beata Bińko

[Rozmowy o historii. Zwiastun wywiadu z prof. Timothy Snyderem](#)

Rozmowy o historii

Zwiastun wywiadu z prof. Timothy Snyderem przeprowadzonego 23-10-2018 r . w Lublinie przez dr Ewę Solską i dra hab. Piotra Witka.

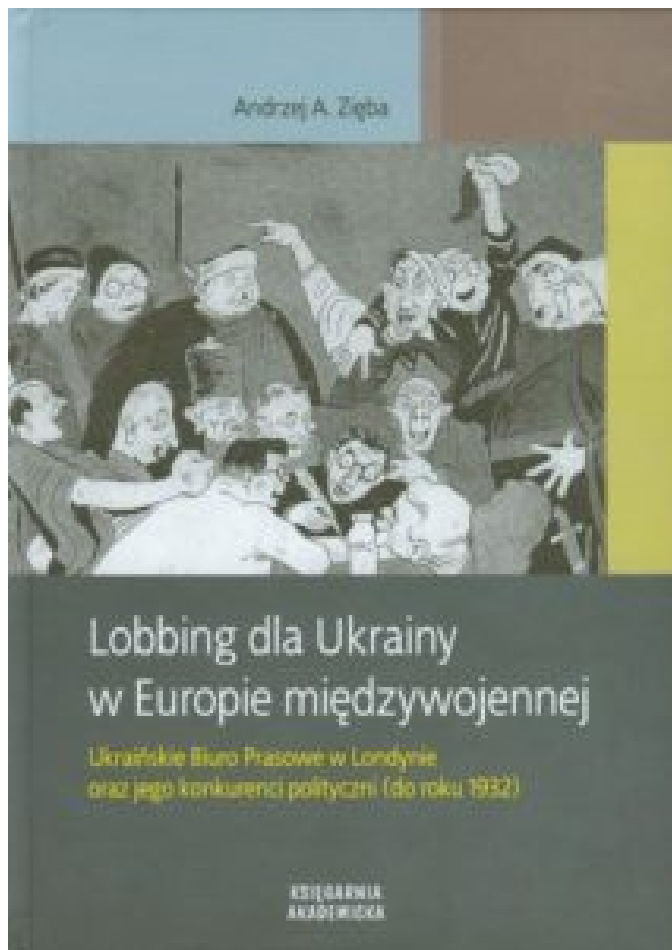
[Pełny tekst wywiadu został opublikowany na portalu ohistorie.eu](#)

Timothy Snyder, profesor Yale University, specjalista w zakresie współczesnych dziejów Europy Środkowej i Wschodniej oraz historii nowożytnego nacjonalizmu.

22 października 2018 roku Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie nadał prof. Timothy Snyderowi tytuł doctora honoris causa.

Promotorem doktoratu był prof. Jan Pomorski.

[**Andrzej A. Zięba, Lobbing dla Ukrainy w Europie międzywojennej. Ukraińskie Biuro Prasowe w Londynie oraz jego konkurenci polityczni \(do roku 1932\), Księgarnia Akademicka Kraków 2010**](#)



JAN PISULIŃSKI

Andrzej A. Zięba, *Lobbing dla Ukrainy w Europie międzywojennej. Ukraińskie Biuro Prasowe w Londynie oraz jego konkurencji polityczni (do roku 1932)*, Księgarnia Akademicka Kraków 2010, ss. 790

Problematyka ukraińska od wielu lat budzi zrozumiałe zainteresowanie polskich historyków. Wśród nich autor omawianej pracy dał się poznać jako wnikliwy, dociekliwy i skrupulatny badacz. Jego dotychczasowy dorobek na tym polu może nie jest zbyt obfity, ale bez wątpienia wartościowy. W 1998 r. opublikował pracę *Ukraińcy w Kanadzie wobec Polski i Polaków (1914-1939)*. Jest jednakże autorem szeregu krótszych tekstów dotyczących m.in. pacyfikacji z 1930 r., metropolity Andrieja Szeptyckiego, ale też społeczności żydowskiej Galicji czy chociażby znakomitego szkicu skomplikowanych stosunkach rodzinnych wybitnego historyka Henryka Wereszyckiego (Zięba 1993; idem 1998; idem 2001). Przez lata był też sekretarzem Komisji Wschodnioeuropejskiej Polskiej Akademii Umiejętności.

Omawiana książka jest rezultatem jego wieloletnich badań nad lobbingiem ukraińskim w okresie międzywojnia. Pomimo upływu lat ustalenia te pozostają wartościowe. Już samo zebranie różnych działań emigracji ukraińskiej i ujęcie ich w terminie przyjętym w naukach politycznych należy uznać za trafne. Także fakt podjęcia badań nad tym zagadnieniem należy przyjąć z uznaniem, jest on bowiem mało znany. Tymczasem, jak pokazuje praca Andrzeja A. Zięby, dzieje lobbingu prowadzonego przez środowiska ukraińskie nie tylko pokazują

trudności ludów „marginesu politycznego”, jak to określa autor, w dotarciu do możliwych tego świata i osiągnięcia swoich celów narodowych. Pozwalają także chociażby głębiej zrozumieć relacje polsko-ukraińskie w II Rzeczypospolitej. Autor udowadnia, jak wieleposunięć przedstawicieli mniejszości ukraińskiej, których badacze dotychczas nie potrafili wyjaśnić i zinterpretować, miało podłoże właśnie w aktywności zewnętrznej ukraińskich lobbystów. Książka została już doceniona, o czym świadczy pozytywna recenzja Włodzimierza Mędrzeckiego w chyba najbardziej opiniotwórczym czasopiśmie poświęconym dziejom najnowszych (Mędrzecki 2012, s. 246-250). O rezonansie pracy wśród badaczy świadczy też kolejna recenzja, pióra znanego badacza dokonań nacjonalistów ukraińskich Grzegorza Motyki (Motyka 2013, s. 633-639). Stąd niniejsza recenzja koncentruje się głównie na aspektach nieomówionych przez dotychczasowych recenzentów.

Należy również podziwiać ogromny zakres zadania, które postawił sobie Andrzej A. Zięba. Podtytuł pracy sugeruje zawężenie tematu tylko do działalności Ukraińskiego Biura Prasowego w Londynie. Jest to chyba zbyt ostrożne sformułowanie. W obszernych antecedenjach autor pracy omówił całościowo lobbing ukraiński w różnych krajach europejskich od początku lat dwudziestych. Ponadto do jego zobrazowania w wielu miejscach jeszcze wykracza poza przyjęty zakres geograficzny rozprawy, sporo miejsca poświęcając zabiegom lobbingowym w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Jak sam autor zaznacza, jest to pierwsza część projektu i zamierza on kontynuować swoje rozważania o lobbingu ukraińskim również po 1932 r., czemu należy tylko przyklasnąć.

Omawiana książka składa się z rozdziału wstępnego – autor omawia w nim stan badań, źródła, terminologię, oraz kolejnych sześciu rozdziałów, z których ostatni stanowi podsumowanie pracy. Praca ma układ chronologiczno-problemowy. W pięciu zasadniczych rozdziałach ułożonych chronologicznie autor podzielił omawiane treści problemowo. Przyjęty układ jest przejrzysty i dzięki temu pozwala czytelnikowi łatwo zorientować się w zakresie lobbingu oraz znaleźć interesujące treści. W rozdziale drugim przedstawia tradycje lobbingu ukraińskiego do roku 1923 r. W następnym rozdziale omawia lata 1923-1926, niewątpliwie „chude”, jeśli chodzi o zakres i efekty lobbingu. Warto podkreślić, że autor nie ograniczył się do zaprezentowania lobbingu w poszczególnych państwach, ale objął swoimi rozważaniami różne fora: organizacji istowarzystwień międzynarodowych oraz ruchu kobiecego. W rozprawie przedstawił także obszernie osoby zajmujące się lobbingiem na rzecz sprawy ukraińskiej, poruszył też finansowe aspekty akcji (w tym drażliwe kwestie subsydiów od poszczególnych państw i konsekwencji ich przyjmowania). Miejscami jednakże można odnieść wrażenie, że autor być może wziął na siebie zbyt ambitne zadanie. Bowiem w przypadku pierwszej dekady dwudziestolecia często jedynie skrótowo (np. w Czechosłowacji), by nie rzecz pobieżnie, omawia główne nurty lobbingu ukraińskiego. Części te może nie wnoszą wiele do naszej wiedzy, ale pozwalają na tym tle dostrzec lepiej późniejszy lobbing, stanowiący clou książki.

Najwięcej miejsca w książce autor poświęca zagadnieniom omówionym w kolejnych rozdziałach: lobbing polityków uerelowskich po 1926 r. związany z projektami prometejskimi, działania podjęte po pacyfikacji w 1930 r. przez nacjonalistów ukraińskich, a szczególnie tytułowego Ukraińskiego Biura Prasowego. Już tytuł

nadany przez autora poświęconej ukraińskiemu odcinkowi akcji prometejskiej (Falstart) wskazuje na krytyczny osąd poczynań proukraińskich lobbystów. W rozdziale podsumowującym autor w ślad za jednym z działaczy nacjonalistycznych trafnie zauważa, że emigracja petlurowska wzięta na siebie zadanie ponad siły. Niepowodzenie jej lobbingu przypisuje specyfice systemu sowieckiego, uniemożliwiającemu przeniknięcie i oddziaływanie na terenie Ukrainy, jak i dywersji Ukraińców galicyjskich (s. 656-657).

Jednakże centralne miejsce pracy zajmuje lobbuing, mający miejsce po polskiej akcji pacyfikacyjnej przeprowadzonej w dawnej wschodniej części Galicji w 1930 r. i skierowany przeciwko Polsce. Zasadą autora jest tu odtworzenie po raz pierwszy w takim zakresie zabiegów lobbuingowych nacjonalistów ukraińskich skierowanych przeciwko Polsce, a zwłaszcza tytułowego, praktycznie nieznanego w Polsce, może poza wąskim gronem specjalistów, Ukraińskiego Biura Prasowego. To ostatnie, będące faktycznie prywatnym przedsięwzięciem kanadyjskiego Ukraińca Jacoba Makohina i jego żony, w świetle zasługującej na wiarę opinii autora okazało się najefektywniejszą próbą dotarcia do znaczących z ukraińskiego punktu widzenia środowisk. Największe sukcesy odniosło na polu pozyskania wielu wpływowych polityków brytyjskich, na ogół związanych z rządzącą w latach 1930-1931 Partią Pracy. Mimo trudniejszego startu Biuro wyprzedziło na tym polu wydawałoby się bardziej znane i działające tam środowiska, przede wszystkim nacjonalistów, ale też liderów największej partii ukraińskiej w II Rzeczypospolitej, Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego. Autor przekonywująco udowadnia, że to właśnie dzięki zakulisowym zabiegom Makohinów i opłacanych przez nich ludzi na czele z Johnem Cecilem l'Estradze Malonem, a nie hałaśliwej, lecz fatalnie prowadzonej kampanii propagandowej OUN, sprawa represji polskich w Małopolsce Wschodniej/Galicji Wschodniej uzyskała tak znaczący rozgłos na arenie międzynarodowej i stała się przedmiotem postępowania w Lidze Narodów, dodajmy, dotkliwie uderzając przy tym w prestiż Rzeczypospolitej. Do najwartościowszych fragmentów pracy należy niewątpliwie też szczegółowe odtworzenie poczynań dyplomatów brytyjskich w tej sprawie (Mędrzecki 2012, s. 247-248).

Niewątpliwą zasługą autora jest również krytyczna analiza przekazów działaczy ukraińskich i funkcjonujących w ślad za nimi w literaturze przedmiotu opinii o skali i znaczeniu międzywojennego lobbuingu ukraińskiego. Andrzej A. Zięba jako pierwszy z badaczy podjął się sprawdzenia, do kogo docierali lobbuingi na rzecz Ukrainy i czy były to osoby znaczące, mające więc rzeczywisty wpływ na losy sprawy ukraińskiej, co powinno być podstawą do oceny skuteczności lobbuingu. Dzięki temu autorowi udało się ukazać rzeczywiste efekty tych działań. Zastosowana przez autora procedura badawcza jest bez wątpienia nowatorska w polskiej historiografii i powinna być uważnie studiowana przez następców, chcących parać się badaniami lobbuingu. Można powiedzieć, że autor wyznaczył pewien wzorzec postępowania na tym polu. Dzięki obranej metodzie i żmudnej weryfikacji przekazów źródłowych dowodnie ukazał, że wbrew pokutującym w literaturze przedmiotu przekazom w rzeczywistości pośrednikami, jak i obiektami lobbuingu, były osoby przypadkowe, a rezultaty niezauważalne, a nawet sprzeczne z intencjami. W tej kwestii należy zgodzić się z zasadniczą i dążącą do oceny lobbuingu ukraińskiego dokonaną przez autora. W świetle jego badań okazuje się, że zmarnowano mnóstwo czasu i pieniędzy, by dotrzeć do

bezwartościowych, mało znaczących środowisk. Z zasadniczymi tezami autora, krytycznie oceniającymi lobbing ukraiński różnych środowisk, zwłaszcza nacjonalistów, Ukraińców galicyjskich i zwolenników hetmana Skoropadskiego, i wskazującymi na oddziaływanie na niego władz niemieckich, należałoby się generalnie zgodzić. Bez wątplenia mamy więc do czynienia z pracą znacząco poszerzającą naszą wiedzę na ten temat.

Przy całej – jeszcze raz podkreślmy – dużej wartości wielu partii pracy nie można przejść obojętnie wobec niektórych, kontrowersyjnych, a nawet zbyt daleko idących stwierdzeń i opinii autora. W swoich opiniach autor omawianej książki posuwa się czasem za daleko, formułując zarzuty tyleż ostre, co nieoparte dowodami, a będące w sprzeczności ze znanymi faktami historycznymi i przekazami źródłowymi.

Najwięcej zastrzeżeń budzi fragment poświęcony akcji pacyfikacyjnej z 1930 r. i późniejszemu lobbingowi. Autor m.in. poddaje w nim krytycznej rewizji przyczyny akcji sabotażowej UW/OUN funkcjonujące dotychczas w literaturze historycznej. Stawia tezę, że działania te podjęto w celu „wulkanizowania” (termin ukuty przez samego autora recenzowanej pracy), tj. poprzez sabotaże sprowokowanie władz polskich do represji, by następnie zorganizować międzynarodowe protesty i zdobyć w ten sposób poparcie dla postulatu rewizji decyzji Rady Ambasadorów z 1923 r., uznającej przynależność wschodniej części dawnej Galicji do Polski (s. 368). Dodaje, iż były one inspirowane przez Niemcy pragnące wspomóc tym swoją kampanię na rzecz rewizji granic z Polską. W związku z tym jako interpretacje o znaczeniu „pobocznym albo wręcz nieistotnym” uważa m.in. tezę, że wpływ na decyzję OUN miały pogłoski o rozmowach nowego ministra spraw wewnętrznych Henryka Józewskiego z metropolitą Andrijem Szeptyckim. Mocno krytykuje stawiających ją Andrzeja Chojnowskiego i Tadeusza Piotrkiewicza (s. 369-370). Dalej pisze m.in., że „zbudowanie muru nienawiści” między społecznościami regionu jako przyczyna sabotażu to domysł „mało poważny” (s. 372). Dla uczciwości intelektualnej powinien jednak wspomnieć, że w napisanym wiele lat wcześniej tekście o pacyfikacji właśnie tak sam uzasadniał przyczynę działań ukraińskich nacjonalistów (Zięba 1993, s. 81). Argument, że kierownictwo nacjonalistyczne samo przyznało się do organizowania akcji jest o tyle w tym wypadku do podważenia, że organizacje terrorystyczne często chełpią się niedokonanymi przez siebie aktami terroru tylko w celu zyskania rozgłosu. Jeśli mamy z tym często do czynienia (ostatnio np. w związku z zamachami w Oslo i na wyspie Utoya w Norwegii), to czemu wykluczać to a priori w tym wypadku?

Nie znaczy to jednak, że autor w tym przypadku nie ma racji, tyle że jego argumenty są nie do końca przekonujące. Paradoksalnie za tezą autora przemawiają te elementy, które w swoim wywodzie całkowicie pominął, a mianowicie modus operandi akcji sabotażowej. W przeciwieństwie bowiem do lat poprzednich, jak i późniejszych, w trakcie tzw. częściowego wystąpienia (tak określane w dokumentach OUN) nie dokonywano w ogóle zamachów funkcjonariuszy aparatu państwowego lub współpracujących z nim Ukraińców, a jedynie zniszczeń materialnych, w dodatku na ogół niewielkich, jak spalenie stert siana czy zniszczenie słupów telefonicznych. Można przypuszczać, że ewentualne ofiary w ludziach zwracałyby międzynarodową opinię publiczną przeciwko napastnikom. Za wnioskami autora przemawia także podkreślona przez niegoniewątpliwie bardzo

szybka, wręcz błyskawiczna reakcja środowisk nacjonalistycznych na pacyfikację – już w niecały miesiąc po jej rozpoczęciu rozpętała się spora kampania protestacyjna zorganizowana w wielu krajach, nakręcana zwłaszcza przez prasę niemiecką (na ogólną liczbę ok. 700 tekstów według obliczeń polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, 400 ukazało się w Niemczech). Niewątpliwie rola Niemców jest w całej sprawie znacząca. Jednakże autor nie przedstawił bezpośrednich dowodów na swoją tezę, ale co istotne: o inspiracji niemieckiej nie pisze na podstawie dokumentów niemieckich, ale pojedynczych opracowań. Warto wspomnieć, że zajmujący się wcześniej kwestią ukraińską w polityce Trzeciej Rzeszy wybitny niewątpliwie badacz tego tematu Ryszard Torzecki, który korzystał z dokumentów niemieckich tego okresu, nie wysuwa tak daleko idących wniosków (Mędrzecki 2012, s. 249).

Przekonanie autora o rzeczywistej przyczynie akcji terrorystycznej wymaga głębszego zastanowienia się. Autor pomija niestety szersze okoliczności wpływające na odbiór pacyfikacji w Europie i poza nią, jak aresztowania polityków opozycyjnych i ich przetrzymywanie w twierdzy brzeskiej, tudzież tzw. wybory brzeskie. Czy omawiany lobbing przyniósłby takie same efekty bez tego kontekstu? Należy w to wątpić. Ponadto we wspomnianej tezie autora, że wspomniane akcje sabotażowe stanowiły inspirowaną przez weimarskie Niemcy prowokację, tkwi kluczowe założenie, że reakcję polską dało się przewidzieć. Takie założenie jest wysoce wątpliwe. Do tego bowiem momentu mimo wciąż ponawianych akcji terrorystycznych władze polskie użyły wojska jedynie w 1922 r., przy nieporównanie większej skali wystąpień (nawet czterokrotnie przewyższających liczbą aktów terroru z 1930 r., również skalą rezultatów – liczne przypadki udanych zamachów na życie). Liczba aktów sabotażu w całym 1930 r. nie była zresztą o wiele bardziej znacząca niż w latach poprzednich (Kulińska 2009, s. 194-206). Ponadto podjęta przez polskie władze akcja pacyfikacyjna objęła wiele większy obszar niż same sabotaże. Wreszcie, czy można byłoby wcześniej przewidzieć, że akcja protestacyjna będzie miała taki rezonans, gdyby nie wspomniany kontekst, który to inicjatorzy na pewno nie byli w stanie przewidzieć. Czy więc Andrzej A. Zięba nie popełnia tego samego błędu, który zarzuca często swoim adwersarzom w postaci mylenia przyczyn ze skutkami?

Odrębnego omówienie wymaga rozdział podsumowujący, mający podtytuł: Krajobraz po lobbingowych bitwach. Andrzej A. Zięba ponownie poświęca w nim wiele miejsca krytyce dotychczasowych historiograficznych ujęć pacyfikacji. Nie ogranicza się przy tym do funkcjonujących dotychczas ocen akcji lobbingowych, ale również zapuszcza się na inne obszary. Dla przykładu krytykuje opinię Andrzeja Chojnowskiego o politycznych skutkach pacyfikacji dla wzajemnych relacji społeczności polskiej i ukraińskiej w postaci wzrostu antagonizmu między nimi, zarzucając temu badaczowi brak znajomości dokumentacji ukraińskiej i zagranicznej. Zgodzić się należy, że sprawa konsekwencji pacyfikacji winna być szerzej zbadana (choćby poprzez analizę prasy czy relacji i wspomnień oraz korespondencji z tego okresu) i żal, że dotychczas tego nie dokonano. O ile jednak szeroko rozwijana przez autora zasadnicza teza o klęsce akcji nacjonalistów na forum międzynarodowym, uderzająca również w ich samych (s. 666-679), jest dobrze udokumentowana przez autora, to w przypadku reperkusji wewnętrznych należałoby być ostrożnym w formułowaniu tak kategorycznych zarzutów, jeśliw swojej pracy nie dokonał się

analizy źródeł pod tym kątem.

Należy w końcu zauważyć, że przy opisie pacyfikacji Andrzej A. Zięba w wielu miejscach podaje nieścisłe, a nawet nieprawdziwe informacje, nie najlepiej świadczące o rzetelności badawczej autora. Jest to tym bardziej dziwne, że innym badaczom zarzuca nieprzywiązywanie wagi do szczegółów. Tymczasem w bardzo krótkim opisie akcji sabotażowej ogranicza się do przytoczenia bez komentarza cytatu ze wspomnień jej uczestnika, w którym ten ostatni stwierdza, że udanych podpaień było kilka setek, a tę liczbę należałoby pomnożyć przez trzy albo cztery, bo wiele się nie powiodło. Jest to tym dziwniejsze, że w swoim wspomnianym już artykule sprzed kilkunastu lat sam podaje, że według szacunków władz polskich do końca listopada było 191 aktów terroru (Zięba 1993, s. 81). Tę samą liczbę podają inni autorzy piszący wcześniej na ten temat, na których się powołuje (Швагуляк 1993; Mazur 2000, s. 3-39; Wysocki 2000, s. 48). Zaprzeczając, by sprawcami sabotaży były osoby wywodzące się z innych niż nacjonalistyczne środowiska, nie wyjaśnia, czemu pomimodecyzji kierownictwa OUNz września 1930 r. o zaprzestaniu dalszej akcji jeszcze ponad miesiąc później dochodziło do aktów terroru (32 w październiku, 9 w listopadzie).

Dalej autor recenzowanej pracy stwierdza, że w ramach akcji nacjonalistów nie tylko demolowano infrastrukturę komunikacyjną, ale również „[...] rabowano banki, urzędy i wozy pocztowe, niszczone siedziby polskich stowarzyszeń i instytucje publiczne. Bito Polaków i Żydów – rolników, nauczycieli, drobnych handlarzy i ich rodziny, żony, dzieci. Poszkodowani szacowali straty na kilka milionów złotych, były ofiary śmiertelne” (s. 376). Zauważyć można w tym opisie uderzającą zbieżność z odpowiednim fragmentem dzieła Władysława Pobóg-Malinowskiego: „W Małopolsce Wschodniej gwałtownie nasiliły się przeprowadzone przez OUN i UWÓ sabotaże, zamachy na banki i urzędy, napady na poczty i urządzenia kolejowe, telefoniczne i drogowe, podpalenia domów i zagród polskich. Bito i mordowano Polaków, zwłaszcza osadników i nauczycieli, nie wyłączając ich żon i dzieci” (Pobóg-Malinowski 1956, s. 338). Publikacji tej jednak nie przywołuje w przypisie. Jednakże powyższy obraz wydarzeń znacząco odbiega od przekazów źródłowych z tego okresu. Ani prasa, ani skrzętnie zbierające wszelkie informacje o sabotażach władze nie odnotowały żadnych polskich ofiarach śmiertelnych ani nawet pobić, tym bardziej kobiet i dzieci. W bardzo szczegółowych zestawieniach ministerstwo spraw wewnętrznych wymieniało 186 aktów terroru pomiędzy lipcem a październikiem 1930 r. Wśród nich według sprawozdań policji państwowej były: 1 napad na ambulans pocztowy, 8 sabotaży na torach, 14 na liniach energetycznych i telefonicznych (ścianienie słupów), 155 podpaień mienia (w dużej mierze stogi siana, zabudowania gospodarcze), 8 usiłowań. Nie było zatem ani jednego napadu na bank, żadnego niszczenia siedzib polskich organizacji czy instytucji (AAN, MSZ, 2257, k. 1-42). Co ciekawe, w swoim wspomnianym wcześniej artykule o pacyfikacji Andrzej A. Zięba nie wspomina o ofiarach śmiertelnych.

Pisząc dalej o wspomnianej pacyfikacji, dokonanej w odpowiedzi na sabotaże przez władze polskie, podaje, że objęła ona 450 osiedli, i następnie stawia tezę: „Były to miejscowości, w których zanotowano akty sabotażu” (s. 378). Tymczasem zprostegorachunku wynika, że objęła ona przecieźprawie trzy razy więcej miejscowości niż w rzeczywistości było aktów terroru. Dalej na tej

samej stronie za Petro Mirczukiem stwierdza, że wśród ofiar pacyfikacji były też osoby postronne z polskiej ludności cywilnej (choć nic na ten temat nie ma w ówczesnej prasie ani w dokumentach, tezy takiej nie stawia również żaden badacz!). Ogólnie można odnieść wrażenie, że autor, broniąc zdecydowanie akcji podjętej przez władze polskie jako uzasadnionej, pomija niewygodne dla nich fakty. Ponadto nie zdradza, skąd zna intencje akcji pacyfikacyjnej, o których pisze (s. 382), skoro nie badał źródłowej genezy. Odrzuca także tezę, że podczas pacyfikacji mogło dojść do nadużyć, przekroczenia rozkazów przez podwładnych, chociaż sam minister spraw wewnętrznych Felicjan Sławoj-Składkowski w opinii przedstawionej Lidze Narodów przyznawał się do takich wypadków. Czy do uzasadnionych działań zalicza chociażby słynne „tulipany” (wieszanie dziewcząt ukraińskich nogami do góry), wspomiane w znanych mu przekazach źródłowych (Sowa 1998, s. 52)? Stwierdza również, że nie ukarano żadnych wojskowych (s. 454), chociaż polskie władze przyznawały, że 29 żołnierzy oddano do dyspozycji sądów wojskowych (AAN, MSZ, sygn. 2262). Recenzent napisał o tym w artykule (Pisuliński 2003, s. 121), na który w innych miejscach powołuje się autor.

Autor polemizuje z tezą, że nastroje ludności polskiej z ręcznie podsycaną endecją, nie powołując się na prasę tego ugrupowania (np. „Gazetę Lwowską”). Nie wiadomo także, na jakiej podstawie twierdzi, że reakcja na akcję sabotażową w postaci pacyfikacji była elementem strategii ukraińskiej Piłsudskiego, a szczególnie prometejskiej części jego otoczenia, nie podając, kogo konkretnie ma na myśli (s. 382). Nie przedstawia też tej rzekomej strategii, o której nikt dotychczas nie pisał, więc nie sposób zweryfikować jego sądu. Raczej uważa się, że prometeizm był wówczas marginalizowany i nie miał wpływu na polską politykę (Chojnowski 1979; Lewandowski 1982; Kornat 2012, s. 58-61; Pisuliński 2012, s. 100-102). Nie wspominają o tym również autorzy najważniejszych biografii Piłsudskiego: Wacław Jędrzejewicz, Andrzej Galicki czy Włodzimierz Suleja.

Jak na obszerny zakres pracy zdziwienie musi budzić skromna podstawa źródłowa wielu partii pracy. Autor wykorzystał głównie spuściznę po tytułowym Ukraińskim Biurze Prasowym przechowywaną w Instytucie im. Władysława Sikorskiego w Londynie, a także dokumenty brytyjskiego Foreign Office, przede wszystkim korespondencję placówki brytyjskiej w Warszawie z centralą, także spuścizny po działaczach ukraińskich przechowywane w archiwach kanadyjskich. Stanowczo za rzadko sięga po polskie archiwalia, zwłaszcza tam, gdzie pisze o poczynaniach władz polskich, ograniczając się zresztą na ogół do pojedynczych dokumentów przedwojennego ministerstwa spraw zagranicznych. Musi budzić zdziwienie, że działania polskiej dyplomacji mające na celu przeciwdziałanie ukraińskiej akcji lobbingowej odtwarza, opierając się na przekazach dyplomatów brytyjskich. Nie sięga za to po kluczowe dla omawianego problemu teczki z zespołów MSZ czy Delegacji RP przy Lidze Narodów, przechowywane w Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Tym samym otrzymujemy obraz polskiej polityki widziany oczyma brytyjskich dyplomatów, w pryzmacie ich wiedzy i interesów. Przedsięwzięcia lobbingowe w pozostałych państwach, jakkolwiek zasadniczo poboczne dla głównego tematu, omawia na ogół jedynie na podstawie pojedynczych opracowań książkowych, ewentualnie nie zawsze wiarygodnych wspomnień działaczy ukraińskich czy też wspomnianych raportów brytyjskich.

Za to liczba wykorzystanych w publikacji relacji, wspomnień i opracowań imponuje. Na tym tle dziwne, że autor często formułuje kategorię tezy m.in. odnoszące się do polityki czechosłowackiej, polskiej czy sowieckiej, opierając się jedynie na pojedynczych opracowaniach czy tylko wspomnieniach. Na przykład w przedstawieniu stanowiska Pragi wobec lobbingu ukraińskiego (s. 101) odwołuje się tylko do dawnej pracy Krzysztofa Lewandowskiego, pomijając liczne nowsze opracowania (Wandycz 1962; Szklarska-Lohmanowa 1967; Śladek, Valenta 1968; Tejchmannova 1993; Kamiński 2004; Betlij b.d.w.; Betlij, b.d.w.; Kołakowski 2007; Pilarski 2008; Jarnecki 2009). Analogicznie postępuje, omawiając politykę Moskwy (Кен 2000, s. 491-492, 504-508). W tym świetle twierdzenia autora należy przyjmować jako jedynie hipotezy wstępne, wymagające dalszych badań źródłowych. Ponadto przedstawiając np. kulisy akcji lobbingowej wokół petycji w LN, opiera się na pracach ukraińskich historyków wywodzących się z kręgów nacjonalistycznych, chociaż w innym miejscu sam dezawuuje ich wartość (s. 373-375).

Konkludując, mamy do czynienia z pracą nierówną. W wielu miejscach jest bardzo wartościową, znacznie poszerzającą naszą wiedzę o tym mało znanym i przebadanym zagadnieniu, którym był międzywojenny lobbing ukraiński. Niestety, znakomite partie książki nieraz sąsiadują z przekłamaniami i co najmniej powierzchownymi ocenami i twierdzeniami partyjnymi na znikomych źródłach, które nawet przy dobrej woli można by uznać jedynie za hipotezy robocze, wymagające dalszej weryfikacji źródłowej. Dziwi to tym bardziej, że Andrzej A. Zięba dał się dotychczas poznać jako wnikliwy i krytyczny badacz jakże złożonych relacji polsko-ukraińskich.

Bibliografia:

- Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej: AAN), Zespół Ministerstwo Spraw Zagranicznych (dalej: MSZ), sygn. 2257, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do MSZ, 13 I 1931, k. 1-42.
- AAN, MSZ, sygn. 2262, Sąd Apelacyjny we Lwowie do MSW, 25 XI 1931.
- Betlij O., *Ukraińskie pytania w polsko-czechosłowackich perемовorach naperedodni konferencij w Genuji 1922 r.*, „Naukowi zapysky”, t. 20 specjalnyj wypusk brak daty wydania.
- Betlij O., *Ukrajina 1919-1923: pražskij projekt*, Central and Eastern European Online Library, brak daty wydania.
- Chojnowski A. (1979), *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk.
- Jarnecki M. (2009), *Irredenta ukraińska w relacjach polsko-czechosłowackich w latach 1918-1938*, Kalisz.
- Kamiński M.K. (2004), *Konflikt polsko-czeski 1918-1921*, Warszawa.
- Кен О., А. Рупасов, *Политбюро ЦК ВКП(б) и отношения СССР с западными соседними государствами (конец 1920–1930-х гг.): Проблемы. Документы. Опыт комментария, cz. 1: Декабрь 1928–июнь 1934 г.*, Санкт Петербург 2000, s. 491-492, 504-508.
- Kołakowski P. (2007), *Kwestia ukraińska w relacjach polsko-czechosłowackich w latach 1918-1935*, „Słupskie Studia Historyczne”, nr 13.
- Kornat M. (2012), *Idea prometejska a polska polityka zagraniczna (1921-1939-1940)*, [w:] *Ruch prometejski i walka o przebudowę Europy Wschodniej (1918-1940)*, red. idem, Warszawa, s. 58-61.

- Kulińska L. (2009), *Działalność terrorystyczna i sabotażowa nacjonalistycznych organizacji ukraińskich w Polsce w latach 1922-1939*, Kraków, s. 194-206.
- Lewandowski J. (1982), *Kwestia ukraińska w II Rzeczypospolitej*, „Aneks”, t. 28.
- Mazur G. (2000), *Problem pacyfikacji Małopolski Wschodniej w 1930 r.*, „Zeszyty Historyczne”, z. 135, s. 3-39.
- Mędrzecki W. (2012), *Lobbing dla Ukrainy w Europie międzywojennej. Ukraińskie biuro prasowe w Londynie oraz jego konkurenci polityczni (do roku 1932)*, Kraków 2010, Księgarnia Akademicka, ss. 790, „Dzieje Najnowsze”, nr 2, s. 246-250 (rec.).
- Motyka G. (2013), *Lobbing dla Ukrainy w Europie międzywojennej. Ukraińskie biuro prasowe w Londynie oraz jego konkurenci polityczni (do roku 1932)*, „Kwartalnik Historyczny”, nr 3, s. 633-639.
- Pilarski S. (2008), *Zarys stosunków polsko-czechosłowackich 1918-1933*, Toruń.
- Pisuliński J. (2003), *Pacyfikacja w Małopolsce Wschodniej na forum Ligi Narodów*, „Zeszyty Historyczne”, Paryż, z. 144, s. 121.
- Pisuliński J. (2012), *Problemy i pytania historiograficzne*, [w:] *Ruch prometejski i walka o przebudowę Europy Wschodniej (1918-1940)*, red. M. Kornat, Warszawa, s. 100-102.
- Śladek Z., Valenta J. (1968), *Sprawy ukraińskie w czechosłowackiej polityce wschodniej w latach 1918-1922*, „Z dziejów stosunków polsko-radzieckich. Studia i materiały”, t. III.
- Sowa A. L. (1998), *Stosunki polsko-ukraińskie 1939-1947. Zarys problematyki*, Kraków 1998, s. 52.
- Szklarska-Lohmanowa A. (1967), *Polsko-czechosłowackie stosunki dyplomatyczne w latach 1918-1925*, Wrocław.
- Швагуляк М. (1993), „Пацифікація”. Польська репресивна акція у Галичині 1930 р. і українська суспільність, Львів.
- Tejchmannova S. (1993), *Politická činnost ruské a ukrajinské emigracie v Československu v letech 1920-1939*, [w:] *Ruská a ukrajinská emigrace v Československu v letech 1918-1945*, red. V. Veber, sv. 1, Praha.
- Wandycz P. S. (1962), *France and her Eastern Allies 1919-1925. French-Czechoslovak-Polish Relations from Paris Peace Conference to Locarno*, Minneapolis.
- Wysocki R. (2000), *Liga Narodów wobec pacyfikacji Galicji Wschodniej w 1930 roku a polsko-ukraińska konfrontacja na arenie międzynarodowej*, [w:] *Ukraińcy w najnowszych dziejach Polski (1918-1989)*, t. 1, pod red. R. Drozd, Słupsk-Warszawa.
- Zięba A. A. (1993), *Pacyfikacja w Małopolsce Wschodniej i jej echo wśród emigracji ukraińskiej w Kanadzie*, [w:] *Przez dwa stulecia XIX i XX w. Studia ofiarowane prof. Wacławowi Felczakowi*, Kraków.
- Zięba A. A. (1998), *Ukraińcy w Kanadzie wobec Polski i Polaków (1914-1939)*, Kraków.
- Zięba A. A. (2001), *Altenbergowie, Vorzimmerowie, Hankiewiczowie*, [w:] *Henryk Wereszycki (1898-1990). Historia w życiu historyka*, pod red. E. Orman i A. Cetnarowicza, Kraków.

Historyk w służbie „rozumu politycznego”



JAN POMORSKI

Historyk w służbie „rozumu politycznego” (prof. Andrzejowi Nowakowi – wirtualnie – do sztambucha)

Wewnętrzny dialog prawdomówności obraca się wokół kluczowego zadania samoobrony. Jest przesycony lękiem kłamcy o samego siebie. Lęk doprowadza do rozszczepienia świadomości egotycznej na Ja-dla-siebie i Ja-dla-innych. Pierwsze Ja jest podmiotem dialogu prawdomówności, drugie Ja jest podmiotem dialogu kłamstwa.

Ks. prof. Józef Tischner, *Błądzenie w żywiole prawdy* (Tischner 1999, 150)

Czy w politycznej historii jest miejsce na kategorię „zdrady”? – pyta prof. Andrzej Nowak (Nowak 2017, 299-312) w kontekście dyskusji nad książką *Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement* (2015), którą z nim prowadziłem na łamach „Dziejów Najnowszych”*. I odpowiada, oczywiście, że jest: mam jako historyk do tego pełne prawo i właśnie z niego skorzystałem w tej monografii. Nie próbuje sugerować – zauważmy – że to np. wydawca narzucił mu taki tytuł ze względów marketingowych, by książka się lepiej sprzedawała

(co w obecnych czasach nawet by mnie nie dziwiło – marketing ma swoje „prawa”); jest natomiast jego jednoznaczna deklaracja, iż była to decyzja świadoma. Chodziło o to, by – konceptualizując własny przedmiot badania – appeasement POŁĄCZYĆ z kategorią „zdrady Zachodu”.

Odnosząc się zatem do tak postawionego przez Andrzeja Nowaka pytania, powiem: pełna zgoda. W **politycznej historii** – znamienne, że krakowski historyk, zadając tytułowe pytanie, tą frazą właśnie się posłużył – czyli historii podporządkowanej jakiejś polityce historycznej, myślenie w kategoriach paradygmatu zdrady narodowej jest nie tylko obecne, ale także święci triumfy. Czy jednak jest na nią miejsce w tym, co w **nauce historycznej** zwykliśmy nazywać „**historią polityczną**”? Tu mam już sporo wątpliwości... O spotkaniu tych dwóch historii – *politycznej historii i historii politycznej* – jest w istocie mój artykuł zamieszczony w „Dziejach Najnowszych” (Pomorski 2017a, 269-298). Wprost sytuuję go także w ramach szerszej dyskusji o polityzacji i mitologizacji historii (zwłaszcza dziejów najnowszych) i o poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jakiej historii Polacy dzisiaj potrzebują?

Nie muszę dodawać, iż tekst o *Pierwszej zdradzie Zachodu* nie był intencjonalnie wymierzony w osobę profesora Andrzeja Nowaka – miał ilustrować szersze i ważniejsze (niż osobiste poczucie wartości każdego z nas jako naukowców) zjawisko rozpowszechnionej polityzacji i mitologizacji historii najnowszej, o której pisałem w artykule *Polityzacja/mitologizacja historii, czyli w czym neuronauka (i metodologia) może pomóc badaczowi historii najnowszej* (Warszawa, 10 grudnia 2016), otwierającym debatę na Forum Badaczy Dziejów Najnowszych, podczas której mieliśmy okazję po raz pierwszy dyskutować ze sobą na ten temat. Wymiana myśli, wywołana moim tekstem zamieszczonym na stronie Polskiego Towarzystwa Historycznego (http://pth.net.pl/uploads/forum_badaczy_dn/Polityzacja_historii.pdf), miała swój ciąg dalszy i została opublikowana w specjalnym numerze czasopisma „Historia@Teoria” (2018); Andrzej Nowak nie przyjął zaproszenia Redakcji do udziału w tym projekcie. Tak się złożyło w międzyczasie, iż jedna z jego książek stała się przedmiotem mego – jako metodologa historiografii dziejów najnowszych – badania. Case profesora Nowaka, historyka wybitnego, miał pokazać, jak łatwo można przekroczyć barierę odgradzającą historię polityczną, uprawianą jako jedna ze specjalizacji w ramach historiografii, obok np. historii społecznej, gospodarczej, dyplomacji czy idei, od *politycznej historii*, czyli historii sterowanej bezpośrednio aktualną polityką historyczną. Tylko tyle i aż tyle.

Niestety mój artykuł spotkał się z dość nerwową reakcją krakowskiego historyka, który odebrał go jako – cytuję – „mający zdyskredytować atakowaną książkę i jej autora”, choć z mojej strony – do tej pory – nie było w tym nic osobistego. Nawet inkryminowana metafora „wyciąganie asa z rękawa”, być może niefortunna, nie miała u mnie wydźwięku pejoratywnego („szulerstwa naukowego”, jak odczytuje to Nowak), ale przeciwnie, z kontekstu, w jakim została przywołana, jasno wynika, iż sygnalizuję poprzez jej użycie sytuację, gdy autor – przedstawiając całą talię argumentów przemawiających za postawioną na początku tezą – zachował na koniec jeszcze jednego „asa” – odnaleziony polityczny testament brytyjskiego pośła w Warszawie, potwierdzający, że był jednak ktoś pośród politycznie znaczących Anglików,

kto „potrafił dostrzec niemoralność i zarazem polityczną krótkowzroczność polityki kapitulacji wobec totalitarnej agresji”, choć właśnie ten cytat z *Pierwszej zdrady Zachodu* w swym tekście przywołuję (Pomorski 2017a, 282). Gdzie tu naruszenie rzetelności naukowej z mojej strony? To raczej emocjonalna reakcja Nowaka na to, co napisałem dalej, wytrącając mu ten argument za pomocą przypomnienia wniosków, do jakich sam wcześniej doszedł: „Ale czy tę świadomość zdrady mieli inni, czy miał ją główny architekt brytyjskiej polityki Lloyd George? No, nie! Sam przecież Nowak zauważa, że [tu następuje cytat z *Pierwszej zdrady Zachodu*]: »Inni bohaterowie tego rozdziału spostrzegli to dopiero później, na przykładzie Hitlera albo Stalina, w 1939 czy 1944 roku. Niektórzy nie widzą tego do dziś«” (tamże). Pozostaję więc przy swoim: za pomocą *jednego przypadku* nie da się uzasadnić tezy, że wiedzieli wszyscy. Krakowski historyk wpada w myślową pułapkę, którą sam na siebie zastawił.

Przeciwnie niż zarzuca mi to autor, wielokrotnie zwracam uwagę na to, co w tej monografii cenne: więcej niż połowę swojego obszernego przecież tekstu poświęciłem dokumentowaniu ewidentnych osiągnięć badawczych Andrzeja Nowaka, dowodząc, że nie musiał on wcale nadawać jej dodatkowo wymiaru politycznego. Że niepotrzebnie – z punktu widzenia interesu nauki historycznej – wpisał się tą monografią w paradygmat „zdradzanej Polski”. Że czynić tego nie musiał, bo naukowo znakomicie mogła obronić się ona bez tego politycznego wymiaru. Że wystarczyło poważnie, a nie zdawkowo, potraktować kategorię appeasement (na co zwracam uwagę, pokazując, jak interdyscyplinarnego podejścia badania nad tym zjawiskiem wymagają i jak długą tradycję mają – zob. tamże 277-280), by powstała praca naprawdę wybitna. Skoro jednak profesor Nowak świadomie zechciał wpisać się również w *polityczną historię*, to to, co w tej pracy „politycznego” wymaga dekonstrukcji i demitologizacji. I to jest akurat zadanie dla metodologa, który też pracuje na źródłach, tyle że historiograficznych, czyli w tym przypadku nad *Pierwszą zdradą Zachodu* Andrzeja Nowaka. Odsyłanie mnie zatem do tego, bym poprowadził własną kwerendę archiwalną nad badanym przez krakowskiego historyka zagadnieniami lub jeśli takowych nie przeprowadziłem zamilkł, jest tyleż naiwne, co świadczące o kompletnym niezrozumieniu, czym jest metodologia historii. Przykładowo: „Kto chce, może tę książkę przeczytać, kto chce, może zakwestionować zebrany w niej materiał i przedstawione wnioski – najlepiej za pomocą własnej pracy ze źródłami. Profesor Pomorski owe wnioski odrzuca. Ale niestety piętrzy tylko argumenty retoryczne, nie sięgając do źródeł” (Nowak 2017, 306).

Przedmiotem mojej rekonstrukcji/poznania jest bowiem konkretna historyczna praktyka badawcza; w tym to, co nią steruje, określona wizja świata i człowieka, z którą historyk przystępuje do badania, by posłużyć się znaną kategorią Jerzego Topolskiego. Skupiam się zatem na analizie poszczególnych kategorii pojęciowych użytych do konceptualizacji przedmiotu badania (*appeasement, totalitaryzm, świat wyobrażony, punkt widzenia, zdrada Zachodu*), na sposobie argumentacji historycznej i sposobach wyjaśniania zarówno postaw poszczególnych sprawców historii, jak i samych wydarzeń, poprzez te działania wytworzonych jako ich zobiektywizowane efekty. Analizuję nie tylko to, CO Andrzej Nowak ma nam do powiedzenia na temat tego, co zdarzyło się w 1920 roku, ale przede wszystkim, JAK to robi, w kontekście

zarówno stosowanych procedur badawczych, jak i sposobów konstruowania narracji historycznej. Przedmiotem badania jest tu zatem to, co określamy jako METODOLOGIĘ STOSOWANĄ danego historyka. W pisanej aktualnie książce *Metodologia historii najnowszej. Teoria i praktyka* przedmiotem mego badania stała się np. metodologia stosowana w ponad stu książkach z historii najnowszej z ostatniej dekady. Innym przykładem takiej rekonstrukcji może być artykuł poświęcony metodologii stosowanej Timothy'ego Snydera, który ukazał się ostatnio w „Historyce” (Pomorski 2017b, 245-302).

Pozostaję zatem cały czas na poziomie analizy METAHISTORYCZNEJ i nigdy nie zamierzałem odnosić się do monografii Andrzeja Nowaka jako historyk dyplomacji, stosunków międzynarodowych czy po prostu dziejów najnowszych (swoją drogą *Pierwsza zdrada Zachodu* takich recenzji specjalistycznych już się wcześniej doczekała, po co więc byłoby pisać kolejną?), bo to nie moje specjalności naukowe w ramach nauki historycznej. Tymczasem Andrzej Nowak, formułując szereg zastrzeżeń do mojego tekstu, oczekuje ode mnie tego właśnie. Ciągłe mówi o jakiejś recenzji/recenzowaniu. Nie chce zauważyć bądź zaakceptować tego, że jako metodolog przenieśliem dyskusję na poziom METAJĘZYKOWY w stosunku do języka *stricte* historycznego. Moje krytyczne odczytanie *Pierwszej zdrady Zachodu* próbuje potraktować jako RECENZJĘ (skąd ten pomysł??? – przecież ja wprost sygnalizuję w tytule, iż są to *Rozważania o historiografii i polityce historycznej* na kanwie jego książki, a nie jej recenzja!) i sprowadzić je jedynie do kwestii następujących: „Nie było żadnej zdrady Zachodu w roku 1920, nie można mówić o żadnym »Zachodzie« (jako antytezie komunistycznego »Wschodu«), a przede wszystkim nie powinniśmy w Polsce pisać o żadnej »zdradzie Zachodu« – to trzy podstawowe tezy **recenzji** [podkreśl. – J.P.]” (Nowak 2017, 299).

Ten prosty zabieg – przeniesienie pola dyskusji z własnej metodologii stosowanej na to, co w ogóle zdarzyło się w roku 1920 – ma intencjonalnie odwrócić uwagę od tego, co jest w moim artykule właściwym przedmiotem badania i zamiast odnieść się jakoś do moich krytycznych uwag na ten temat, krakowski historyk stara się zasugerować czytelnikom „Dziejów Najnowszych”, że w istocie chodzi o spór między nami o to, czy była zdrada Zachodu, czy jej nie było?

Przeglądając rozmaite komentarze internetowe, które odpowiedź profesora Nowaka wywołała, odnoszę wrażenie, że ten zabieg okazał się nawet skuteczny**. Tymczasem nasz spór dotyczy czegoś zupełnie innego i o wiele bardziej fundamentalnego: rekonstruując metodologię stosowaną i opisując warsztat naukowy Andrzeja Nowaka, dowodzę, że jego praktyka badawcza broni się sama i wcale nie potrzebowała podparcia tezami politycznymi o „zdradzie Zachodu”. Że to dopiero na poziomie konstrukcji narracji historycznej, a nie samego badania historycznego, uległ on pokusie mitologizacji i polityzacji historii. I wskazuję, że historyk w wymiarze etycznym powinien czuć się odpowiedzialny także za możliwy społeczny odbiór swojego dzieła i że pisanie w paradygmacie „istnienia istnieniem zdradzonym” jest – by rzec słowami klasyka współczesnej polskiej polityki – *ciężką chorobą duszy i umysłu, którą podpowiada diabeł*. A na pewno już nie jest dobrą odpowiedzią na pytanie: jakiej historii Polacy obecnie potrzebują w przestrzeni publicznej?

Kategoryczność powyższego osądu wynika stąd, iż podzielam przekonanie

profesora Krzysztofa Pomiana, który swego czasu pisał, iż: „Bycie historykiem nie jest czymś przyznanym raz na zawsze wraz z dyplomem ukończenia odpowiednich studiów. Bycie historykiem musi zyskać za każdym razem potwierdzenie zajmowaną postawą poznawczą i moralną” (Pomian 2014, 35). Czy zasada ta została złamana przez Andrzeja Nowaka w *Pierwszej zdradzie Zachodu*? Odpowiedź na to pytanie pozostawiam śledzącym tę debatę o polityzacji/mitologizacji naszej historiografii. Bardzo dobrze zatem się stało, że Redakcja „Dziejów Najnowszych” postanowiła zestawić obydwa teksty – moje krytyczne studium i odpowiedź na nie profesora Nowaka – ze sobą, publikując je w tym samym numerze. To ułatwia konfrontowanie poszczególnych tez i argumentów, ułatwi też – mam nadzieję – Czytelnikowi falsyfikację twierdzeń mylnych bądź jawnie fałszywych, których w rzeczonyj odpowiedzi nie brakuje.

Pozwolę sobie także wyrazić osobiste przekonanie, że nasza polemika jest też zapisem/świadectwem stanu/chwili, w jakiej znalazła się polska historiografia A.D. 2017, reflektując nad sobą samą w kontekście aktualnie prowadzonej polityki historycznej i w tym sensie ta wymiana myśli może mieć znaczenie – mam nadzieję – także środowiskowe, a nie tylko zainteresować po latach przyszłych historyków historiografii.

I w zasadzie mógłbym na tym stwierdzeniu poprzestać, przymykając oko na osobiste „wycieczki” autora *Pierwszej zdrady Zachodu* pod adresem warsztatu „lubelskiego metodologa”, gdyby nie jedna uwaga Nowaka rzucona pod adresem ks. prof. Józefa Tischnera. Zbyt wiele mu myślowo zawdzięczam, by przejść wobec tej wypowiedzi obojętnie. Jeśli rozważania Tischnera nad fenomenem zdrady w *Filozofii dramatu* (1999) ktoś uznaje za „całkowicie banalne w tym akurat zakresie”, to nic mnie nie powstrzyma od wyrażenia intelektualnego oburzenia i konstatacji, iż są one równie banalne, jak rozważania nad „banalnością zła” Hannah Arendt, bez których trudno obecnie wyobrazić sobie nasze myślenie o niemieckim nazizmie i Holokauście. Pisze Andrzej Nowak:

Z chęcią wykorzystam natomiast właśnie nawiązanie do ks. prof. Tischnera jako dobry punkt wyjścia próby odpowiedzi na istotne pytanie profesora Pomorskiego. Idąc za (w istocie całkowicie banalnymi w tym akurat zakresie) rozważaniami Filozofii dramatu, zakończonymi wnioskiem, iż podstawą pojęcia zdrady jest złożona wcześniej, a niedotrzymana obietnica, profesor Pomorski pyta: „Czy latem 1920 roku najpierw obiecano nam wierność, a potem zdradzono?”. I stawia „pytania pomocnicze: co nam tak naprawdę w Wersalu Zachód obiecywał? Za co ręczył?”. Recenzent głosi dalej – już bez argumentów – tezę, że nie było obietnicy, która by usprawiedliwiała określenie sytuacji Polski latem 1920 r., opisanej przeze mnie w omawianej książce, w kategoriach „zdrady” (Nowak 2017, 300).

Postawmy zatem pytanie: jakie znaczenie dla historyka może mieć namysł Tischnera nad fenomenem zdrady? Otóż ten – powtórzę tu raz jeszcze swój wywód – że książka profesor uczuła nas na to, że zdrada jest relacją osobową, zakładającą **świadomość** obydwu stron: zdradzającego i zdradzanego, że do zdrady dochodzi/doszło. Tu i teraz. Historyk może postawić hipotezę, że taką świadomość aktorzy procesu historycznego posiadali, ale musi to UDOWODNIĆ. **Nie może natomiast imputować im tego**, czyli „wdrukowywać” w ich głowy czegoś,

czego tam nie było. SPRZECZNOŚĆ w logice historycznej Andrzeja Nowaka polega właśnie na tym (czego nie chce/nie potrafi zauważyć), że zrekonstruowawszy najpierw bardzo starannie i udanie, co w swoim tekście zauważam i doceniam, „świat wyobrażony” brytyjskich przywódców z Lloydem George’em na czele, pokazał jednocześnie wprost całą peryferyjność i nie-podmiotowość Polski w tej „zachodniej mapie mentalnej” z 1920 roku. To nawet nie była relacja Imperium – kolonia, lecz myślowy owoc tego – co przenikliwie dostrzegł już Piłsudski – że Polski na mapie politycznej XIX wieku zwyczajnie nie było. Jak można było tedy zdradzić kogoś, kto w „świecie wyobrażonym” Imperium zaledwie się rodził, dopiero zaczynał się wyłaniać z niebytu historycznego?

Co zatem robi Andrzej Nowak? Ano opuszcza perspektywę badacza, patrzącego na wydarzenia *in statu nascendi*, czyli tak, jak postrzegali je ówcześni aktorzy procesu historycznego i przenosi się w czasy mu współczesne, by tym razem z **perspektywy historyka bogatszego o wiedzę, co przyniósł wiek XX**, snuć narrację o tym, co zdarzyło się latem 1920 roku. To jest ta właśnie sprzeczność: te same wydarzenia, które historykowi A.D. 2016 wydają się być „pierwszą zdradą Zachodu”, z perspektywy ich sprawców żadną zdradą nie były. Były raczej tym, co prof. Włodzimierz Suleja rozpoznał i nazwał „modelem ówczesznie obowiązującej na Zachodzie „poprawności politycznej” (Suleja 2016, 255).

Profesor Nowak trzyma się standardów właściwych dla nauki historycznej, gdy prowadzi swą analizę na poziomie subiektywnych motywacji poszczególnych sprawców historii, tak pojedynczych aktorów – postaci typu: Lloyd George, Namier czy Rumbold, jak i obsadzając w tej roli podmioty zbiorowe: Zachód, Polskę czy Rosję sowiecką (pomijam tymczasem złożony problem hipostazowania i antropologizacji rzeczonych podmiotów, by nie wchodzić w analizę kolejnych błędów metodologicznych autora *Pierwszej zdrady Zachodu*). Ale niepostrzeżenie, w toku narracji historycznej, historia polityczna zmienia się pod wpływem bieżącej polityki historycznej (tej spod znaku „istnienia istnieniem zdradzonym”) w *polityczną historię*, gdzie nie obowiązują już standardy naukowości. Polityka *appeasementu* stosowana przez państwa – podmioty/sprawców historii w XX stuleciu przestaje być przedmiotem badania historycznego (ściślej: kategorią teoretyczną konceptualizacji tegoż przedmiotu), ale w połączeniu z kategorią „zdrady Zachodu” staje się jedynie narzędziem w służbie „rozumu politycznego”.

Wygłosiwszy tę tezę, chciałbym przejść obecnie – znów w trybie bardziej rozważań o historiografii i polityce historycznej niż recenzyjnym, skupionym wyłącznie na analizie odpowiedzi profesora Nowaka na moje studium krytyczne (gdyż sama przez się nie byłaby ta analiza na tyle ważna, by epatować/zajmować tym grono szersze) – do tego, co zasygnalizowałem tytułem *Historyk w służbie „rozumu politycznego”*. Czynię to tym chętniej, że pozwoli mi to znów odwołać się do niezwykle istotnych rozważań ks. prof. Tischnera (i choć trochę spopularyzować je w ten sposób w środowisku historyków ten portal odwiedzających).

Tischner, kontynuując swoje rozważania nad istotą myślenia w kategoriach zdrady, poddaje w *Filozofii dramatu* wnikliwej krytyce sam *rozum polityczny*, pokazując, o co w istocie chodzi nie tylko w sprawie „istnienia istnieniem zdradzonym”, ale i w innych toczonych publicznie sporach o prawdę i kłamstwo,

również te historyczne. I właśnie dzięki przywołaniu Tischnerowskich ustaleń będę mógł uzyskać/ukazać szerszy kontekst dla analizy postępowanie Andrzeja Nowaka, zaprezentowanego w odpowiedzi na moje krytyczne studium o jego książce, bowiem stanowić może ono modelową wręcz egzemplifikację tego, co Tischner nazywa „błądzeniem w żywiole prawdy” w służbie *rozumu politycznego* (zob. Tischner 1999, 140-173).

Przepraszam, że tym razem nie obędzie się już bez personalnych odniesień. I nie chodzi nawet o to, iż po lekturze odpowiedzi Andrzeja Nowaka mógłbym poczuć się z obowiązku zachowania wstrzeźliwości w tym względzie zwolniony, ale stanie się tak dlatego, że rozważania Tischnera o tym, jak „pracuje” rozum polityczny, będą zwyczajnie bardziej zrozumiałe, jeśli dodatkowo poprze się je jakimś konkretnym przykładem. Rzecz jasna, w służbie „rozumu politycznego” mogą działać przedstawiciele różnych profesji. Tu zajmuje mnie *historyk*, bowiem o polityzacji i mitologizacji historii piszę i stanowi ona m.in. mój przedmiot badania.

Zacznijmy zatem od prezentacji drogi myślowej ks. profesora. Jak zwykle u niego, rozważa on problem, poddając analizie konkretne ludzkie dramaty, dobrze rozpoznane w naszej zbiorowej pamięci kulturowej: „Dwa przykłady obrazują stosunek człowieka do prawdy: obrona Sokratesa oraz obrona Raskolnikowa ze *Zbrodni i kary* Fiodora Dostojewskiego. Sokrates broni się przed kłamliwym oskarżeniem, Raskolnikow broni się przed oskarżeniem, które jest prawdą. Dla Sokratesa prawda jest drogą do ocalenia życia, dla Raskolnikowa drogą do ocalenia życia jest kłamstwo. Oto jak dwuznaczny może być stosunek człowieka do prawdy” – powiada Tischner (Tischner 1999, 140). I zaraz pojawia się konstatacja uogólniająca:

Kłamstwo jest szczególnym przypadkiem stosunku między Ja i Ty – polega ono na podaniu innemu nieprawdy jako prawdy. Zakłada, że prawda jest kłamiącemu znana – w każdym razie jest on o tym przekonany – nie jest jednak z jakichś powodów przekazywana innym. Kłamstwo zakłada nadto, iż okłamywany prawdy nie zna lub przynajmniej nie jest jej pewny. Gdyby było inaczej, kłamstwo nie miałyby sensu. I jeszcze jedno założenie: kłamiący uznaje wartość prawdy i wartość prawdomówności, wie zatem, że kłamiąc, czyni źle, jest jednak przekonany, iż musi tak czynić (tamże, 143-144).

Fenomen kłamstwa można rozważać na poziomie tak radykalnym, jak przypadek Raskolnikowa, można rozważać go także na poziomie kłamstwa historycznego czy kłamstwa naukowego. Kłamać można z powodów osobistych i wówczas interweniuje to, co ks. profesor nazywa „rozumem pospolitym”. Można też kłamać, odwołując się do racji ponadindywidualnych, interesu zbiorowości, do której się przynależy lub z którą się politycznie utożsamia. To domena *rozumu politycznego*. Tischner konkretyzuje to na przykładzie Raskolnikowa: najpierw analizuje jego kłamstwo na poziomie rozumu pospolitego, by następnie przejść do omówienia sposobu jego manifestowania się/emanacji na poziomie wyższym, na poziomie rozumu politycznego właśnie. Pisze:

[...] kłamca dąży do tego, by ukonstytuować wokół siebie, a następnie przekazać innym drugi świat. Praca nad tym światem wymaga szczególnego wysiłku. Kłamca musi rozróżniać okoliczności mniej lub bardziej istotne – te, których znaczenie można zmienić, i te, których zmienić nie można i

dlatego trzeba je ukryć. Zmiana znaczeń nie może przebiegać całkiem dowolnie, lecz musi być zgodna z regułami koherencji znaczeniowej. Z kolei każde zaprzeczenie wydarzeniu musi być czymś więcej niż tylko zaprzeczeniem faktowi – najlepiej będzie, jeśli się zaprzeczy również warunkom jego możliwości. Nie wystarczy stwierdzić: nie zabiłem. Trzeba raczej powiedzieć: nie mogłem zabić. Stąd troska o unicestwienie śladu. Ślady same mówią. Konstrukcja świata dla innych może się udać jedynie pod warunkiem zatarcia śladów (tamże, 147-148).

W przypadku kłamstwa naukowego też można próbować zacierać ślady. Do kwestii tej powrócimy niebawem. Teraz ważna myśl kolejna: „Kłamstwo zwraca się na zewnątrz, ku innym. Kłamstwu zwróconemu na zewnątrz towarzyszy wewnętrzna prawda. Im większa potrzeba kłamstwa, tym wyraźniejsza świadomość prawdy” (tamże, 157).

Doprawdy trudno mi uwierzyć, że Andrzej Nowak nie ma świadomości (Tischnerowska wewnętrzna prawda), jaka jest prawda, gdy zwraca się do czytelników „Dziejów Najnowszych” tymi słowy:

W swoich „sztuczkach prawniczych” profesor Pomorski posunął się już na samym początku swej recenzji bardzo daleko, stanowczo za daleko. Przykro powiedzieć, ale poza granice uczciwości w obchodzeniu się z cytatai (a zwłaszcza z ich autorami). Zasłużony metodolog z Lublina jakby nie opanował podstaw metodyki pracy ze źródłami, jakich uczy się chyba jeszcze w szkole, przed studiami. Oto swoją rozprawę z moją pracą rozpoczyna od niezwykle oryginalnego ustawienia przeciwnika. Między przypisem 8 a 9 tekstu profesora Pomorskiego pojawia się obszerny, nieopatrzony żadnym przypisem cytat. Ma on kluczowe znaczenie dla jego dalszego wywodu, bowiem zostaje on przedstawiony jednoznacznie tak, jakby był to cytat mojej wypowiedzi, w istocie cytat z mojej książki, ujawniający sedno mojego płacznego, pełnego kompleksów nastawienia do problemu „zdrady Zachodu”. Zaczyna się ów cytat od stwierdzenia „Zachód zdradzał Polaków wielokrotnie”, przypomina dalej Napoleona, legionistów na Haiti, zawiedzione nadzieje powstańców listopadowych i styczniowych na pomoc aż po konferencję w Jałcie... Niestety, ta stereotypowa wyliczanka nie jest cytatem z mojej książki ani żadnych moich słów. Jest to wypowiedź redaktora Adama Leszczyńskiego z „Gazety Wyborczej”, z jego recenzji mej książki (to bardzo osobista wypowiedź redaktora Leszczyńskiego, którą bezpośrednio poprzedzają słowa: „«Zachód zdradził nas w Jałcie i teraz też zostawił nas samych»” – słyszałem w dzieciństwie, które przypadło na czas stan wojennego...” – takie miał dzieciństwo Adam Leszczyński, moje było inne – i przypadało na czasy Gomułki). Redaktor „Gazety” w takim kontekście odczytuje moją książkę. Ma do tego pełne prawo. Ale profesor historii, tym bardziej metodolog, nie ma chyba prawa podstawiać wypowiedzi jednego autora drugiemu, tylko dlatego, że jest mu to retorycznie przydatne? (Nowak 2017, 306-307).

Ileż trzeba mieć ZŁEJ WOLI, by coś takiego napisać? Przecież nie tylko z kontekstu mojej wypowiedzi jest oczywiste, że ów cytat jest kontynuacją wypowiedzi Adama Leszczyńskiego, bo przecież bezpośrednio powyżej i dodatkowo w zdaniu poprzedzającym ten cytat wprost do historyka z „Gazety Wyborczej”, a nie do Andrzeja Nowaka, się tu myślowo odnoszę. Przecież każdy to może

sprawdzić, sięgając bezpośrednio do mojego tekstu. Nie da się w tak prosty sposób zatrzeć śladu... Gdyby ktoś miał jeszcze jakąś wątpliwość, to wystarczy odrobina logiki: Nowak stawia przecież w swej książce tezę, że była to PIERWSZA zdrada Zachodu, a zacytowany przeze mnie Leszczyński pisze tu wprost, że BYŁY ZDRADY WCZEŚNIEJSZE i nawet daje ich konkretne przykłady, falsyfikując tytułową tezę krakowskiego historyka. Oto stosowny fragment z tego cytatu:

„Zachód zdradzał Polaków wielokrotnie. Napoleon Polski nie tylko nie odbudował po zaborach, ale wysłał polskich legionistów, żeby zabijali walczących o wolność afrykańskich niewolników na Haiti. W czasach powstania listopadowego i powstania styczniowego liczyliśmy na pomoc, a słyszeliśmy głównie ciepłe słowa” (Pomorski 2017a, 271).

Powiem zatem coś mocnego, bardzo mocnego: to Tischnerowskie kłamstwo w imię rozumu pospolitego dokonane przez profesora historii! Dodatkowo, trzeba być naprawdę człowiekiem małej wiary w logiczne myślenie czytelników „Dziejów Najnowszych”, ale przede wszystkim w profesjonalizm samej **Redakcji, której Andrzej Nowak** – a nie ja – **jest przecież członkiem Komitetu Redakcyjnego**, by myślowo dopuścić, że osoba odpowiedzialna za korektę techniczną mojego tekstu w redakcji „Dziejów Najnowszych” – pani Ewa Bazyl – natychmiast by takiej „wpadki” nie wychwyciła i w razie jakichkolwiek wątpliwości, do czego ów cytat się odnosi, nie poprosiła o uzupełnienie numeracji przypisu. Tym bardziej, że prosiła o drobne zmiany i poprawki w kilku innych przypadkach, podczas naszej wspólnej pracy nad redakcją tekstu.

Co dalej? Sięgnijmy znów po Tischnera: „Rozum pospolity zaczyna się wstydzić samego siebie. Oczarowany nadciągającym teatrem, bierze sobie za wzór myślenie polityczne i wyrzekając się coraz bardziej swej pospolitości, kształtuje siebie na obraz i podobieństwo rozumu politycznego. Od czego zaczyna? Zaczyna od postawienia kluczowego pytania polityki: kto za mną, a kto przeciw mnie?” (Tischner 1999, 167). A jak to może wyglądać w praktyce?

Pomorski przechodzi w końcu swego tekstu do sugestii otwarcie politycznych, aktualnych, publicystycznych: pisze o „mierzeniu się z trudną polską wolnością w czasach IV RP” i stawia tezę, że w imię tego wyzwania, powinniśmy dzisiaj raczej zastanowić się: „co oznacza dziś, w warunkach polskich A.D. 2017, zdradzać Zachód?”. A więc jednak wolno mówić o zdradzie – ale tylko wtedy, jeśli analizujemy, jak to Polska zdradza Zachód. I zdrada, i Zachód okazują się wtedy kategoriami dopuszczalnymi i naukowymi? Oczywiście w takich ramach interpretacyjnych książka o realnej polityce Lloyda George’a zgody z Rosją sowiecką kosztem Polski i o poprzedzającej ją mentalności imperialnej części zachodnich elit, w której Polska (tak jak inne kraje Europy Wschodniej) okazuje się tylko „puzzlem”, do dowolnego przestawiania zgodnie z grą między mocarstwami – nie może być dobrą monografią naukową, co stwierdza w swym końcowym werdykcie profesor Pomorski. Tego rodzaju książka może być, według niego, właśnie tylko przejawem p o l s k i e j zdrady Zachodu, zimno wykalkulowaną realizacją „określonej antyeuropejskiej polityki historycznej”. W takim kluczu łatwo odkryć wszystkie „ukryte” w niej chytrze sugestie (Nowak 2017, 310).

Takie postawienie sprawy otwiera drogę do fazy drugiej: „Otwiera się nowa droga dla Raskolnikowa: to, co dla pospolitego rozumu było kłamstwem, okazuje się wyższą prawdomównością, a to, co dla rozumu pospolitego było prawdą, okazuje się kłamstwem dla wyższego rozumu” (Tischner 2017, 162). Podstawą rozumu politycznego jest tzw. radykalizm aksjologiczny. Przyjrzyjmy się, na czym on polega: „Rzeczywistość historyczna, wytwory kultury, ustroje państwowe, religie są owocem przeświadczeń, które z niewiadomych bliżej powodów dominują w określonym czasie, w określonych społeczeństwach. To, co nazywa się obiektywną rzeczywistością, jest jedynie chwilowym stanem rzeczy, określonym przez dotychczasową historię wiedzy i samowiedzę człowieka. Czym tedy jest prawda, a czym fałsz? Prawda i fałsz zależą od społecznego uznania dla wartości określonej tezy: teza bardziej wartościowa dla określonego społeczeństwa zostaje uznana za bardziej godną urzeczywistnienia, a więc również za bardziej prawdziwą; teza mniej wartościowa, lub wręcz szkodliwa, staje się tezą błędną. Czym tedy jest kryterium prawdy? Kryterium prawdy jest to wartość przysługująca danej tezie” (tamże, 163).

Zauważmy, że Tischner uczuła nas tu, iż miłe uszom każdego historyka hasło „mówienia prawdy” może być interesowne w tym sensie, że sama „prawda” nie jest przez rozum polityczny traktowana jako wartość autoteliczna, lecz jest zwyczajnie instrumentalizowana, służy czyimś interesom. Zwracał na to uwagę także Tony Judt, dyskutując z Timothy Snyderem o historii XX stulecia: „Rzeczywisty problem polega na tym, że kiedy jedna społeczność domaga się »mówienia prawdy«, ma na myśli nie tylko wyolbrzymianie własnego cierpienia, ale sugeruje też pomniejszanie cierpienia innych” (Judt, Snyder 2012, 63).

W paradygmacie rozumu politycznego prawda z dogmatu epistemologicznego zmienia się w dogmat aksjologiczny. „Powtórzmy raz jeszcze: podstawowym kryterium prawdy jest wartość, jaka przysługuje danej prawdzie. Teza ta jest radykalizującym przedłużeniem myślenia, które towarzyszy nauce od zarania i tworzy ją. Czyż poza tym nie jest spełnieniem skrytych jej marzeń? Czy nie twierdzi się, że wiedza jest potęgą, a nauka podstawowym środkiem twórczym? Dotychczas prawda miała władzę nad myśleniem, ale nie przysporzyło to szczęścia ludzkości. Odtąd myślenie będzie miało niepodzielną władzę nad prawdą. Stanowisko takie nazywamy radykalizmem aksjologicznym” – pisze Tischner (Tischner 1999, 164). Radykalizm aksjologiczny pociąga za sobą dwa następstwa.

Przede wszystkim rzuca on nowe światło na ideę władzy. Problem władzy staje się istotnym problemem aksjologii. [...] Aby budować lepszą przyszłość, trzeba zespolenia wielu w jeden potężny organizm, poruszany jedną myślą i jednym sercem. Klucz do realizacji wartości spoczywa więc w ręku władzy. Oznacza to jednak, iż władza posiada również klucz do ich prawdziwości. Ona wie i ona może. Jej praktyka okazuje się w końcu konkretnym i ostatecznym kryterium prawdy: prawdą jest to, co się udaje władzy, nieprawdą to, co kończy się jej niepowodzeniem. Mając odpowiednią władzę, która potrafi skupić w odpowiednim kierunku wolę narodów i pokonać przeszkody stojące na jej drodze, może człowiek czuć się panem prawdy i fałszu. Jak Bóg, a może jak anty-Bóg... Z całą pewnością jednak jak Raskolnikow (tamże, 164-165).

Jeśli dla rozumu politycznego wszystko jest tworzywem, to może nim być

również historia. I człowiek, jako jej sprawca.

Człowiek także musi dorastać do poziomu twórcy wartości. Władza musi go zatem w taki sposób uformować, by mógł rozumnie, ale posłusznie, uczestniczyć w jej wielkim przedsięwzięciu. Także więc na płaszczyźnie stosunku Ja i Ty określona praktyka staje się konkretnym i ostatecznym kryterium prawdy. Jak nazwać rozum, który dokonuje zarysowanej przez nas radykalizacji aksjologii? Nazwiemy go r o z u m e m p o l i t y c z n y m. Rozum ten dąży do stworzenia świata na nowo. Nie chce jednak i nie może czynić tego w samotności, lecz wciąga w swe dzieło wszystkich ludzi, posługując się określoną polityką. Stąd nasza nazwa. [...] Konkretyzacją tego rozumu jest postać Raskolnikowa. Oskarża się go o morderstwo. Ale morderstwo istnieje tam, gdzie przedtem było braterstwo. Lichwiarka zerwała więź braterstwa. Jeśli więc było cokolwiek, to wyłącznie zabójstwo. Lecz czy nie zabija się w wojnie, na polu bitwy? Czy zniszczenie przeszkody na drodze do szczęśliwego jutra nie jest dla ludzkości pożyteczne? Jeśli tak, to Raskolnikow nie kłamie, tylko mówi prawdę w wyższym niż pospolity sensie. Dlaczego potępia się go za to, za co chwali się Napoleona? (tamże, 165-166).

Co zatem robi prof. Nowak w ramach „rozumu politycznego” w swojej sprawie? Próbuje zdemaskować mnie jako ukrytą opcję prozachodnią w polskiej historiografii, a nawet coś gorszego: dostrzega pokrewieństwo mojej optyki historycznej z tymi spośród zachodnich lewicujących intelektualistów, którzy długo nie chcieli dostrzec, czym w istocie jest komunizm. Pisze: „Profesor Pomorski stara się całkowicie zakwestionować tego rodzaju przeciwstawienie. Stwierdza, iż trudno mówić już w roku 1920 o takim radykalnym kontraście między Zachodem a Rosją sowiecką i instalowanym w niej systemem politycznym, bowiem ów system „jeszcze nie okazał zbrodniczego charakteru”. To mocne stwierdzenie. Bardzo mocne” (Nowak 2017, 303). Zwłaszcza, gdy zestawia się to z faktem, iż był to „terror, który kosztował już do lata 1920 r. życie z pewnością nie mniej niż kilkaset tysięcy ofiar”. Jak na tym tle wyglądam? „Paskudnie”, że posłużę się zwrotem Andrzeja Zybortowicza, który w ten sposób odpowiedział na pytanie, jak powinien się czuć ktoś, kto nie spełnia jego kryterium „minimum patriotyzmu”. Zostałem rozpoznany i zdemaskowany!

Tischner: „Ileż radości dostarczają nieoczekiwane odkrycia, zwane słusznie »demaskacjami«! Oto ktoś był, jak się okazuje, tylko pozornie z nami, a naprawdę był przeciwko nam. Obca wtyczka! Szpieg! Sabotażysta! Czy z takimi odkryciami mogą konkurować odkrycia matematyków, fizyków, chemików?” (Tischner 1999, 168).

Powróćmy jednak do Nowaka, bo najlepsze dopiero przed nami:

Lubelski metodolog jest konsekwentny. Skoro w roku 1920 nie można jeszcze mówić o zbrodni jako sposobie funkcjonowania systemu komunistycznego, nie wolno także używać odnośnie do niego określenia „totalitarny”. Argument w tym zakresie wysunięty przez profesora Pomorskiego jest wręcz rozczulający: skoro termin „totalitaryzm” został wprowadzony w obieg dyskursu publicystycznego i naukowego dopiero w latach dwudziestych XX w., i to w odniesieniu do faszyzmu włoskiego, to nie wolno go zastosować do określenia systemu wcześniej działającego. Ależ by się zdziwili

koledzy-mediewiści, gdyby usłyszeli, że powinni porzucić termin „feudalizm” z tego tylko powodu, iż był on całkowicie nieznany w opisywanych przez nich czasach... (Nowak 2017, 304).

Czytając co powyżej, po raz pierwszy czułem jedynie zażenowanie wobec takiego deficytu kultury logicznej. U profesora przecież, a nie studenta historii! Albo to rozczulająca inaczej naiwność logiczna/metodologiczna prof. Nowaka, albo działanie wprowadzające czytelników „Dziejów Najnowszych” w błąd świadomie. Z pozoru wygląda to nawet logicznie, przypomnijmy zatem za Tischnerem: „zmiana znaczeń nie może przebiegać całkiem dowolnie, lecz musi być zgodna z regułami koherencji znaczeniowej”, czyli w tym przypadku tymi, które obowiązują w środowisku historyków – dodajmy. Tak nakazuje rozum polityczny. Zwłaszcza przykład z „feudalizmem” miał tu być miażdżący: jak można zakazywać historykom posługiwania się terminem „feudalizm” z powodu tylko tego, że był on nieznany ludziom żyjącym w czasach, gdy ustrój/system ten faktycznie panował. Pełna zgoda: nie można. Problem w tym, że ja nigdzie takiego zakazu *explicite* ani *implicite* nie formułuję. Pisząc to, Andrzej Nowak pokazuje wprost, że albo naukowo „błądzi w żywiole prawdy”, albo intelektualnie nie rozumie zarzutów mu stawianych. Nie wiem, co gorsze! W naszym sporze o **adekwatność posłużenia się kategorią totalitaryzm** chodzi przecież **nie o sam termin, lecz o użycie pojęcia totalitaryzm, a ściślej: o jego desygnaty, czyli to, do czego się rzeczone pojęcie przedmiotowo odnosi.** Wystarczy zajrzeć do mojego tekstu (por. Pomorski 2017a, 279) – cytuję: „**Pomijam** już fakt, że sam termin pojawił się w 1923 r., a pojęcie państwa totalitarnego cztery lata później, **ważniejsze jest coś innego...**” [podkreślenie na potrzeby tego cytatu – J.P.]. Pomijam, bo to mało istotne, choć daje okazję do przypomnienia *begrifsgeschichte*, by skupić się na tym, co ważne: na opisanu fundamentalnego błędu krakowskiego historyka! Jak widać AN tego „pomijam” także nie raczył zauważyć i postanowił uczeplić się właśnie tego pierwszego członu zdania podrzędnego – niestety dla niego, okaże się w toku dalszego wywodu, iż „tonący brzytwy się chwyta”.

Pozostając przy powyższym przykładzie Nowaka, wyjaśniam – najprościej, jak się da, by zrozumiał – że **chodzi o sytuację, gdy historyk poszukuje desygnatów pojęcia „feudalizm” nie w epoce, w której one (czyli te zjawiska, które na feudalizm zdaniem historyków się składają) występowały, ale – powiedzmy – szuka ich w... niewolnictwie!** Czyli, wyrażając to w języku bardziej metodologicznym, chodzi o sytuację, gdy badacz dokonuje tzw. imputacji kulturowej, popełniając błąd ahistoryzmu, czyli *zmienia porządek czasu*, jakby powiedział Pomian, „w czytując” w przeszłość to, co dopiero zajdzie w przyszłości. I oto właśnie chodzi z tym błędnym odwołaniem do totalitaryzmu: Andrzej Nowak rozpoznaje go zwyczajnie tam, gdzie jeszcze się historycznie nie objawił! Mój sprzeciw tego właśnie dotyczy, a nie zakazu używania *pojęcia* totalitaryzm, jak próbuje to wmówić czytelnikom „Dziejów Najnowszych” krakowski historyk! W roku 1920 system totalitarny jeszcze nie istniał, upłynie jeszcze wiele lat, nim objawi się on Europejczykom w pełnej formie, nie można zatem oczekiwać od Lloyda George’a i Zachodu, żeby go w swym świecie wyobrażonym antycypowali! To o tym historycznym nieporozumieniu właśnie piszę w metodologicznym studium o *Pierwszej zdradzie Zachodu* i ten błąd wytykam Andrzejowi Nowakowi. A co on robi? Próbuje problem „zamieść pod dywan” i przekierować – zgodnie z logiką rozumu politycznego – uwagę

czytelników na moją rzekomą naukową „wpadkę”. Swoją drogą ciekawe, ilu czytających odpowiedź Nowaka dało się na tę logikę nabrać?

Jest jeszcze jeden aspekt poruszonego powyżej problemu: to kwestia nie perspektywy historyka (znającego następstwa, skutki zdarzeń), ale perspektywy „sprawcy historii” (działającego tu i teraz). To z perspektywy sprawców historii można za Tischnerem mówić o samej zdradzie i „istnieniu istnieniem zdradzonym”. Nowak zakłada, iż przywódcy Zachodu działali w złej wierze, chcąc latem 1920 roku kosztem Polski zaspokoić żądania Rosji sowieckiej i mając od początku świadomość zbrodniczego/totalitarnego charakteru tego państwa. Ale rekonstruując ich „świat wyobrażony”, bardzo udanie zresztą, na co zwracam uwagę w swym krytycznym studium, pokazuje przecież, iż zdominowany on był myśleniem imperialnym, a z tej perspektywy Polska była jedynie pionkiem w grze, a nie partnerem w rozgrywce! Autor nie dostrzega/nie chce dostrzec tej sprzeczności we własnej logice historycznej. Bo albo prawdziwa jest jego rekonstrukcja „świata wyobrażonego” i wówczas falsyfikuje ona tezę o zdradzie Zachodu i działania w złej wierze, albo rzeczona zdrada była i wówczas rekonstrukcja „świata wyobrażonego” przywódców brytyjskich jest błędna. „Rozum polityczny” podpowiada jednak profesorowi Nowakowi trzecie wyjście (a nuż ludzie to „kupią” w imię wyższych racji aksjologicznych):

Użyty przez profesora Pomorskiego w obronie „Zachodu” (a konkretnie jego politycznego lidera – brytyjskiego premiera) argument z niewiedzy o zbrodniczej naturze systemu, który się politycznie sankcjonuje, jest jednak ryzykowny jeszcze z drugiego powodu. Ma on bowiem swój inny dramatyczny przykład – chyba odstrasżający, tj. argument tzw. zwykłych Niemców, którzy nie wiedzieli nic o totalitarnej naturze systemu, któremu służyli, nie wiedzieli nic o dokonywanych przezeń zbrodniach, z Holocaustem na czele. Profesor Pomorski sięga po ten sam w gruncie rzeczy argument, by bronić „zwykłych polityków” prowadzących politykę w imieniu Zachodu – tych, którzy wybrali appeasement z Leninem w roku 1920. Oni jednak nie wiedzieli nie dlatego, że nie mogli wiedzieć, ale dlatego, że nie chcieli wiedzieć (Nowak 2017, 306).

Wobec siły perswazyjno-moralnej tego zestawienia – „zwykli Anglicy” i „zwykli Niemcy” powinienem bądź zamilknąć ze wstydu, bądź założyć worek pokutny i bicząc się intelektualnie (np. czytając kolejne tomy *Dziejów Polski AN*) udać się w pieszą pielgrzymkę do Krakowa, by w krypcie wawelskiej prosić o przebaczenie, że ja – prosty „metodolog z Lublina”, z tylekroć zdradzonej Polski, *ośmieliłem się stanąć w obronie „Zachodu”* [w rzeczywistości stoję w swym krytycznym studium o *Pierwszej zdradzie Zachodu* nie w obronie „Zachodu” – bo po co? (to tak, jakby komuś zaproponować grę w szachy, a on ci wyjeżdża z „cymbergajem”), ale w obronie rzetelności nauki historycznej, ma się rozumieć]. Ale szybko mi przeszło, bo przypomniałem sobie, jak potrafi UWODZIĆ rozum polityczny (por. Tischner 1999, 167) i pomyślałem, że lepiej zapytać kolegów historyków brytyjskich, wśród których Andrzej Nowak przebywał i prowadził swoje kwerendy źródłowe do w/w monografii, jak poczuliby się zestawieni tą wypowiedzią z Niemcami i wydani pod osąd Historii? Oni, potomkowie „zwykłych Anglików”, skonfrontowanych latem 1920 roku z polityką Rosji sowieckiej, bytu nowego i słabo jeszcze rozpoznanego, zrównani teraz przez krakowskiego kolegę ze „zwykłymi Niemcami”, udającymi niewiedzę o

zbrodniach hitlerowskich. I czy TAKIE ZESTAWIENIE nie jest GIGANTYCZNYM NADUŻYCIEM INTELEKTUALNYM prof. Nowaka, dokonany w imię ROZUMU POLITYCZNEGO?

Po co Nowak to zrobił? – można zapytać. Doprawdy nie wiem. Tropem może być język postprawdy właściwy dla rozumu politycznego. Tak o takiej mowie pisał Tischner:

Nie odwołuje się ona do pospolitej prawdy, lecz do prawdy politycznej, której jeszcze nie ma, ale którą należałoby stworzyć. Mowa ta zachęca i zniechęca, umacnia i osłabia, budzi entuzjazm i budzi grozę, wznieca i gasi pożary, uwodzi i zwodzi – jednym słowem, agituje. Mniej ważne staje się to, co się mówi, ważniejsze jest to, jak się mówi. Zawsze jednak ciągnie się za nią jak cień początkowa podejrzliwość i wszystkie jej następstwa: z podejrzewania płyną oskarżenia, z oskarżenia denuncjacje, a od denuncjacji już tylko krok do morderstwa. Ileż uroku ma takie myślenie i taka mowa! /.../ Myślenie polityczne jest zaraźliwe, rozprzestrzenia się nie dzięki odsłanianym prawdom, tylko jak zaraza – poprzez samą styczność. Nic zatem dziwnego, iż ulegają mu nawet intelektualiści (Tischner 1999, 168-169).

Jest taki film pt. *Denial/Kłamstwo* (2016) w reżyserii Micka Jacksona, który frapująco obrazuje historię zmagania przed angielskim sądem amerykańskiej historyczki prof. Deborah Lipstadt z negującym prawdę o Auschwitz Davidem Irvingiem. Chciałbym prof. Nowakowi (i wszystkim obserwującym naszą dyskusję na portalu) gorąco polecić jego obejrzenie. Bez żadnych osobistych podtekstów. Chodzi mi wyłącznie o moralny aspekt zmagania się z postprawdą.

Tony Judt sformułował w zbliżonym kontekście ważne ostrzeżenie dla historyka XX wieku:

*Po pierwsze, nie wolno wymyślać lub wykorzystywać przeszłości dla teraźniejszych celów. To mniej oczywiste, niż mogłoby się zdawać. Wielu dzisiejszych historyków w gruncie rzeczy traktuje historię jako udział w polemikach politycznych. Chodzi o ujawnienie czegoś na temat przeszłości, co ukrywały konwencjonalne ujęcia – skorygowanie jakiegoś błędnego odczytania przeszłości, na ogół po to, żeby stronnictwo zaangażować się w teraźniejsze spory. **Przygnębia mnie, kiedy jest to robione prostacko i bezwstydnie** [podkreśl. – J.P.]. To oczywista zdrada powołania historyka, które polega na próbach zrozumienia przeszłości (Judt, Snyder 2012, 286).*

A jest to powołanie, które – jak przypomniał nam Pomian – nie jest nam dane na zawsze, wraz z otrzymaniem dyplomu historyka, tylko takie, które należy potwierdzać zajmowaną postawą poznawczą i etyczną każdego dnia. Także wtedy np., gdy przytacza się argument z autorytetu Pipesa: „Przypomnijmy wobec tego – z kolei za Richardem Pipesem: »wszystkie atrybuty totalitaryzmu miały swoje antecedencje w leninowskiej Rosji: oficjalna, wszechobejmująca ideologia; jedyna partia wybranych, kierowana przez 'wodza' i dominująca nad państwem; terror policyjny; kontrola partii rządzącej nad środkami komunikacji masowej oraz armią; centralne sterowanie ekonomią«. Tak, to już było widoczne w roku 1920. Przynajmniej dla niektórych, dla wielu nawet” (Nowak 2017, 304).

Otóż zadałem sobie trud sprawdzenia: Pipes nie twierdzi tu – co sugeruje

Nowak („Tak to już było widoczne w roku 1920. Przynajmniej dla niektórych, dla wielu nawet”) – że **współcześni dostrzegali w 1920 roku znamiona totalitaryzmu w Rosji**, lecz pisze o zgoła czymś innym: oto on JAKO HISTORYK dostrzega **antecedencje** totalitaryzmu już w Rosji Lenina. Można zastanawiać się, czy twierdzenie Pipesa jest zasadne, ale to już zupełnie inna kwestia. Na przykład Marek Kornat zajmuje w tej kwestii następujące stanowisko: „Nasz punkt widzenia ujmujemy więc w jednym zdaniu: idee i rządy Lenina bezspornie zawierały duży potencjał totalitarny, ale po jego przedwczesnej śmierci losy tego dziejowego »eksperymentu«, którego podwaliny stworzył, mogły potoczyć się różnie, zaś rządy Stalina to tylko jeden z wariantów rozgrywającej się historii” (Kornat 2010, 148. Dziękuję Mariuszowi Mazurowi za zwrócenie mi uwagi na ten artykuł). Pozostawmy to specjalistom. Nie można jednak posługiwać się autorytetem Pipesa dla obrony tezy, że współcześni wiedzieli, czym był totalitaryzm.

Ciekawe swoją drogą, jak prof. Nowak zareagowałby, gdyby ktoś Polsce wrogi, ośmielony tym cytatem z pracy amerykańskiego historyka, wpadł na pomysł, by za pomocą wymienionych powyżej atrybutów totalitaryzmu uzasadniać tezę, iż ustrój, w jakim jest nam dane aktualnie żyć nad Wisłą, określane czasem jako PISREALIZM *per analogiam* do socrealizmu (zapewne na skutek przeżywanego *deja vu*) – spełnia większość cech wymienionych przez amerykańskiego historyka. Na wszelki wypadek dodam (zadziałała *czujność proletariacka*), że w moim świecie nazwanie *pisrealizmu* totalitaryzmem, nawet w wersji *soft* tego pojęcia, jak widział to Pipes w przypadku Rosji sowieckiej z lat dwudziestych, absolutnie się nie mieści! Zatem wołałbym, aby żaden historyk z Krakowa/Warszawy czy innego miasta na ten argument z Pipesa się nie powoływał, wodząc czytelników na intelektualne pokuszenie...

A *propos* zaś samego totalitaryzmu i sposobów jego rozumienia to odsyłam do znakomitego studium innego pracującego w USA historyka, Enzo Traversa (Cornell University), które ukazało się ostatnio w „History and Theory” (Traverso 2017, 97-118. Bardzo dziękuję prof. Ewie Domańskiej, że zwróciła mi uwagę na tę pracę). To zdecydowanie merytorycznie lepszy przewodnik po odnośnej literaturze przedmiotu niż Richard Pipes, co potwierdzi zapewne każdy, kto zetknął się z wydanym przez niego przed laty zbiorem *Le totalitarisme: Le XXe siècle en debat* (Traverso 2001).

Zamiast zakończenia – dwa cytaty z Tischnera. W ich metaforycznym kontekście odczytać można istotę dramatu sytuacji Historyka w służbie „rozumu politycznego” (czytaj, np. w służbie nowelizacji ustawy o IPN). Oto pierwszy:

Wygrana Raskolnikowa nie polega jedynie na ocaleniu życia. Spór, jakiego jesteśmy świadkami, jest sporem o władzę. Aby zdobyć władzę, trzeba przedstawić siebie jako sprawiedliwego wśród niesprawiedliwych. Wygrana polega na samousprawiedliwieniu. Usprawiedliwić siebie znaczy wykazać, że nie jest się kłamcą. Raskolnikow dzięki włączeniu w dyskurs rozumu politycznego wykazuje, iż nie zamordował. Nie jest więc kłamcą. Jego czyn był naprawdę aktem bohaterstwa. I choć sędzia śledczy ma o tym inne zdanie, nie ma to większego znaczenia. Raskolnikow jest więc godny posiadania władzy. Dzięki zdolności przewidywania i bohaterstwu może być wodzem prowadzącym społeczeństwo ku lepszej przyszłości (Tischner 1999, 169).

A oto drugi:

Raskolnikow nie wyrzekł się prawdy. On zmienił tylko jej znaczenie. Jest w pełni świadom tego, jak wielką rolę odgrywa prawda w życiu ludzi i narodów. Nie zamierza rządzić inaczej, jak tylko poprzez prawdę. Raskolnikow rozróżnia precyzyjnie to, co stanie się jutro, dzięki jego polityce, i to, co już dzięki niemu się stało. To, co będzie, co zostanie powołane do istnienia, podlega prawdzie rozumu politycznego, tutaj obowiązuje bezwzględne pierwszeństwo aksjologii: im bardziej wartościowy projekt jutra, tym prawdziwszy. To, co zostało już stworzone, podlega ocenie i opisowi wedle kategorii prawdy pospolitej. Nikt rozsądny nie powinien przeczyć osiągnięciom rozumu politycznego. Gdyby ktoś ośmielił się wysunąć wątpliwości, może spotkać się z jeszcze lepszym sędzią śledczym, który mu wykaże kłamstwo. Tak więc prawda jest fundamentem władzy Raskolnikowa (tamże, 170).

A czyjej władzy fundamentem jest dziś „prawda historyczna”?

Luty, 2018

Przypisy:

* Kontynuowanie tej dyskusji na łamach „Dziejów Najnowszych” byłoby z jednej strony nadużyciem cierpliwości Redakcji, a z drugiej nadużyciem cierpliwości ewentualnie nią zainteresowanych – kolejne miesiące oczekiwania na publikację, dlatego postanowiłem przyjąć zaproszenie do jej przeniesienia do nowopowstałego portalu, dedykowanego specjalnie obecności historii w Akademii i w sferze publicznej.

** Przyznaję, że właśnie te wpisy – obok inspirującej dyskusji seminaryjnej nad obydwoma tekstami, opublikowanymi w „Dziejach Najnowszych”, która pod patronatem Towarzystwa Historiograficznego miała miejsce w styczniu 2018 w Lublinie – stały się głównym motywatorem tego, by raz jeszcze zabrać publicznie głos w tej sprawie.

Bibliografia:

- Judt T., Snyder T. (2012), *Rozważania o wieku XX*, przeł. P. Marczewski, Poznań.
- Kornat M. (2010), *Czy Lenin był przywódcą totalitarnym? (Rozważania wokół nieporozumień)*, [w:] W. Kozub-Ciembroniewicz i in. (red.) (2010), *Totalitaryzmy XX. Idee, instytucje, interpretacje*, Kraków.
- Nowak A. (2017), *Czy w politycznej historii jest miejsce na kategorię „zdrady”?*, „Dzieje Najnowsze”, R. XLIX, nr 3; <http://apcz.umk.pl/czasopisma/index.php/DN/article/download/DN.2017.3.13/13268> (data dostępu: 10 marca 2018).
- Pomian K. (2014), *Historia – dziś*, [w:] E. Domańska, R. Stobiecki, T. Wiślicz (red.) (2014), *Historia – dziś. Teoretyczne problemy wiedzy o przeszłości*, Kraków.
- Pomorski J. (2017a), *Appeasement jako ostrzeżenie. Rozważania o historiografii i polityce historycznej (Wokół „Pierwszej zdrady Zachodu” Andrzeja Nowaka)*, „Dzieje Najnowsze”, R. XLIX, nr 3;

http://rcin.org.pl/Content/63879/WA303_83477_A507-DN-R-49-3_Pomorski.pdf
(data dostępu: 10 marca 2018).

Pomorski J. (2017b), *W poszukiwaniu klucza do zrozumienia historii XX stulecia. Teoria historii i metodologia stosowana Timothy Snydera*, „Historyka. Studia Metodologiczne”, t. 47.

Suleja W. (2016), *Bezsilność zwycięzców*, „Dzieje Najnowsze”, nr 1.

Tischner J. (1999), *Błądzenie w żywiole prawdy*, [w:] tegoż, *Filozofia dramatu*, Kraków.

Traverso E. (ed.) (2001), *Le totalitarisme: Le XX-e siècle en débat*, Paris.

Traverso E. (2017), *Totalitarianism between History and Theory*, „History and Theory”, Theme Issue 55 (December).

Korekta językowa: Anna Bartoś